

ADAM GÓRECKI

UŚMIECH ŚW. HUBERTA

OPOWIADANIA MYŚLIWSKIE

~~898~~

~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
W GŁIWICACH
Nr. ~~898~~~~

SKŁAD GŁÓWNY
GEBETHNER i WOLFF
WARSZAWA

UŚMIECH ŚW. HUBERTA



Górecki
Miszczak
898

18-3



WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY ADAM GÓRECKI



MS

21060

821.164.1-3

UŚMIECH ŚW. HUBERTA



Mówiła mi moja stara niania, że gdy ten padół lez i płaczu ujrzałem, z podanych mi przez nią do kołyski dwóch przedmiotów, grzechotki dziecinnej i pustej łuski z naboju, wybrałem tę ostatnią. Kiedy zwrócono niani uwagę na możliwość skonsumowania przeze mnie ze smakiem papierowej łuski i ta chciała mi ją odebrać, zaprotestowałem stanowczo krzykiem i kopaniem nóg.

— Ha! Już ta pewnikiem nic innego z tego nie wyrośnie, ino myśliwy. Ojca będzie natura.

Tak zawyrokowała starucha, która o ile wiem, taki sam wyrok wydała przy kołysce mego ojca. Tę chorobę dziedziczną naszej rodziny znała stara dobrze, jako odwieczna piastunka nemrodów. Odwieczna dlatego, że nigdy nie mogłem zdać

sobie sprawy z tego, jak długo mogła być na służbie naszej rodziny. O przodkach moich, przebywających od dziesiątek lat w zastępach niebieskich, mówiła tak, jakby się z nimi przed chwilą rozstała.

Po ogłoszeniu tego proroctwa, długo jeszcze, bo do ósmego roku życia nemrod spał we mnie. Obudziła go przygoda, która do końca życia będzie żywo stała mi w pamięci.

* * *

Wysokie góry Wschodniego Beskidu pokryte grubo śniegiem. Wąski ślad sań wytarty w śniegu, na krętej górskiej drodze, po której szybko posuwają się małe sanki, zaprzężone w jednego konia. W sankach było nas dwoje. Matka moja, kierująca koniem i owinięte w jakieś kożuchy czy futra, moje jestestwo.

Pęd sanek, które zdawały się chwila mi lecieć w powietrzu lub wisieć, przyczepione do zbocza stromej skały i uderzające w twarz grudki zbitego śniegu

z pod kopyt końskich, oszałamiały mnie i upajały.

Zapadał zmrok. Krajobraz zaczął się szybko zlewać w jakąś szarą, niesamowitą barwę. Oblepione śniegiem, z rzadka rozrzucone po zboczach górskich krzewy, przybierały fantastyczne kształty nadprzyrodzonych ludzi i zwierząt ze słyszanych bajek. Zdawało się to wszystko nabierać życia i poruszać. Przyszły mi na myśl opowiadane wieczorami historie o strachach i wilkach. Zrobiło mi się nieswojo i mimo woli rzuciłem okiem na przewieszony na szyi matki sztucer Manlichera, który przy silniejszych wstrząsach sanek, dawał mi znać o sobie trącaniem w kolano.

Wjechaliśmy w wąwóz o stromych zboczach i zrobiło się prawie ciemno.

W pewnym momencie koń parsknął raz i drugi, szarpnął saniami i zaczął gnać jak szalony.

Uszu mych dobiegło rzucone przez matkę słowo:

— Wilki!!

Teraz wypadki nastąpiły po sobie z błyskawiczną szybkością. Zostałem ujęty ręką za kark i wtłoczony na dno sanek, skąd z przerażeniem obserwowałem matkę.

Stała w saniach, tyłem zwrócona do konia. Lewą ręką, dookoła której miała okręcone lejce, ściągała całą siłą oszalałe ze strachu zwierzę. Prawą starała się utrzymać sztucer przy twarzy.

Spojrzałem za sanie!

Tuż, tuż za nimi zobaczyłem potworne, jak mi się wtedy zdawało, ze świecącymi zielono oczyma, sylwety dwóch wilków!

Przerażenie me przeszło wszelkie granice. Instynktownie ukryłem się w jakichś kocach pod siedzeniem.

Miałem wrażenie, że koń trochę zwalnia bieg. Słyszałem jeszcze, jakby niewyraźnie, huk strzałów i zatraciłem świadomość tego, co się dalej działo.

Obudziłem się dopiero na drugi dzień w swoim łóżku, w ciepłym i jasnym pokoju ojcowskiej leśniczówki. Otworzywszy

oczy, spotkałem utkwiony w siebie niepokojny wzrok ojca. Widząc, że nie śpię, zagadnął :

— No! Dzień dobry! Zdrów jesteś? Nie boli cię co?

Szybko przesunęła mi się w myślach panorama wczorajszych przeżyć. Nie będąc pewny, czy to była okropna rzeczywistość, czy przykry sen tylko, szepnąłem coś do siebie na temat wilków. Ojciec, jakby w odpowiedzi na to, rzekł:

— Wstań i ubierz się prędko! Zobaczysz coś ciekawego.

Dwa razy nie trzeba mi było tego powtarzać. Brakiem ciekawości nie grzeszyłem nigdy.

W kilka minut potem byłem w podwórzowej szopie, gdzie zobaczyłem zwiśające na grubym drągu, łbami na dół, dwa olbrzymie cielska wilcze, a stary gajowy, zakasawszy rękawy, zabierał się do zdejmowania skóry.

Jak łatwo się domyśleć, były to trofea matki mojej, zdobyte w tak niesamowitych okolicznościach i nie trzeba doda-

wać, jak bardzo byłem zachwycony bohaterstwem matki.

* * *

Opisany wypadek dał początek memu zainteresowaniu się bronią. Asystowałem teraz przy każdym rozbieraniu i czyszczeniu broni, a nawet czasem (o radości!) na moją usilną prośbę, wolno mi było potrzymać trochę w rękach sztucer lub dubeltówkę.

Z czasem zabierał mnie ojciec na niedalekie spacerunki z bronią, nieraz do czegoś przy mnie strzelił, polował koło domu z puchaczem na ptactwo, a potem — potem przyszła wojna światowa.

Zadudniły spokojne dotąd góry echem strzałów armatnich. Rozszczękały się po wąwozach karabiny maszynowe. Przelewały się wojska kilka lat jak fale — to rosyjskie, to austriackie, to polskie Legiony...

Dla mnie osobiście było to wszystko bardzo interesujące, tym bardziej, że wszędzie można było znaleźć jakieś nieznanne, pozostawione

stawione przez wojska przyrządy, części jakichś maszyn czy broni i całe masy naboju. Rzecz najważniejsza, że wszystko to dało się zastosować do moich potrzeb.

Miałem wtedy wyspecjalizowanych w tych sprawach towarzyszy zabaw.

Pusta gilza karabinowa, oprawiona w kawałek drzewa, doskonale naśladowała rewolwer. Do takiej gilzy nasypywało się prochu, zatykało go papierem i przymocowywało się ten „rewolwer“ do jakiegoś przedmiotu. W rękach na szczęście nikt nie miał odwagi tego trzymać. Jeden z odważniejszych pędziwiatrów przykładał zapaloną zapałkę do otworu przepiłowanego z tyłu gilzy i następował strzał, który zwykle rozrywał „rewolwer“ w kawałki.

Takie i temu podobne roily się w tych głowach pomysły. Moim marzeniem jednak zawsze było posiadanie prawdziwej broni.

Po pewnym czasie, choć wojna toczyła się jeszcze gdzieś daleko, stosunki zdawały się normować. Rodzina moja

znalazła się na terenie dawnej Kongresówki znów w leśniczówce, a ja wpakowany do gimnazjum w mieście K., dumny byłem ze swego jednego paska na kołnierzu, niewątpliwego godła pierwszoklasisty.

— Jak przejdziesz do drugiej klasy, będziesz chodził ze mną na dzikie kaczki. Mam tereny. Rozumiesz? — zachęcał mnie ojciec.

Jeszczeby nie rozumieć! Polowanie — dzikie kaczki!

Dłużył się nieraz czas nad książką, aż wreszcie nadeszły upragnione wakacje.

To chodzenie na kaczki przybrało realną formę, ale dla mnie kończyło się zawsze tylko chodzeniem, a w najlepszym razie niesieniem ojcowskiej strzelby do domu po skończonym polowaniu.

Buntowała się moja młoda, myśliwska dusza!

Mózg opracował plan działania.

* * *

W piękny, skwarny dzień sierpniowy, przekonany, że przez nikogo nie mogę być kontrolowany, chwyciłem ojcowską strzelbę, kilka naboí i — hajda chyłkiem w stronę jeziora.

Do samego jeziora dostęp był trudny z powodu okalających je trzęsawisk i bagien. Doszedłszy zaś do brzegu, nie widziałem nic przed sobą przez gęsto rosnące i o wiele wyższe ode mnie tataraki. Łodzi nie pozwalał użyć strach przed świadkami.

Należało koniecznie wybrać jakieś stałe miejsce i czekać na przelatujące lub przepływające ptactwo.

Wdrapałem się na stojącą nad wodą jedyną wierzbę.

Gałęzie jej były tak ułożone, że nie mogłem w żaden sposób zająć wygodnej pozycji. Zaczepiony jednak jakoś, ni siedząc, ni stojąc, postanowiłem wytrwać.

Po godzinie bezskutecznego czekania ze strzelbą u ramienia, całe ciało miałem odrętwiałe. Już miałem zrezygnować z tych łowów, gdy nagle, w odległości

może czterdziestu kroków, na gładkiej tafli wody, zobaczyłem kaczkę.

Poznałem cyrankę. Płynęła spokojnie, nie przeczuwając nic złego...

A na drzewie w tym samym czasie serce wielkiego łowcy chciało mu biciem pierś rozsadzić...

Oczy krwią zachodzą.

Kaczka płynie bliżej! Jeszcze bliżej!!

Myśl wiruje w kółko — trafić! Oh!
Trafić!!

Jeszcze bliżej!

Strzał!!!

Huk stu piorunów i spadam pchnięty jakąś siłą na wznak do wody.

Wstaję. Wściekłe dzwonięcie w uszach.

Niespodziewana kąpiel wraca mi częściowo przytomność.

Jestem pewny pudła.

Naraz błyskawica myśli — strzelba!
Gdzie strzelba?!

Wpadła do wody?! Może złamana?!
A może utonęła?!

Rzucam niespokojnym wzrokiem dookoła, brnę po mulistym dnie — nie ma!

Ogarnia mnie rozpacz. Zaczynają dręczyć wyrzuty sumienia. Może ojciec wrócił do domu i spostrzegł brak strzelby, lub może strzał ktoś słyszał i przyjdzie na jego odgłos?

Co robić?!

Kręcę się niespokojnie, spoglądam na drzewo i o dziwo! Cel moich poszukiwań wisi spokojnie na gałęzi. Sekunda — jestem na drzewie. Zdejmuję strzelbę i rzućcam mimo woli okiem na wodę.

Boże mój! Oczom nie wierzę!

O kilka kroków od nieszczęsnego drzewa srebrzy się w słońcu brzuch ubitej kaczki, mej pierwszej zdobyczy myśliwskiej.

Płakałem i śmiałem się na przemian z radości.

.

Czułem na sobie wzrok Świętego Huberta, a spojrzawszy w niebo, zdawało mi się, że widzę Jego życzliwy uśmiech w słońcu...

.



Kiedy w dziesięć lat potem położyłem w puszczy kresowej pierwszy raz w życiu olbrzymiego odyńca, nie zaznałem już tej emocji, jaką mi dała ongiś mała kaczu-szka — cyranka.

Święty Hubert uśmiecha się do myśliwego tak z bliska, tylko raz w życiu.

BURY

Urodził się w tym miejscu, gdzie grubo, zbutwiały, brodami mchu obrosnięty wywrot bukowy zawisł na zawsze nad przepaścią i zaczepiony trupimi puszczelami swych dawnych konarów, urągał czasowi.

Nad bukowym wywrotem, na stromym, niedostępnym zboczu jak zawieszony w powietrzu rósł las. Dołem na dnie przepaści, przewalając się po kamieniach, szeleszczał górski strumyk.

Z jednej strony wywrotu, między grubym jego pniem, a wystającym cyplem skały, była wnęka, okryta od góry parasolem rozczapierzonych korzeni, rosnącego nad nią świerka. Idealna kryjówka dla zwierzęcia i człowieka.

Zwierzęta wiedziały o niej dobrze, lecz nie podchodziły blisko, a człowiek

o niej nie wiedział. Bo i nie lada trzeba było sprytu i zręczności, aby ją w tym miejscu odnaleźć.

Odnalazła ją jego matka. Stara niedźwiedzica, szczęśliwa brzemieniem budzącego się w niej nowego życia, wiedzona nieomylnym macierzyńskim instynktem, znalazła to bezpieczne schronienie na barłóg.

I tu przyszedł na świat — on.

Gdy był jeszcze niedołążnym maleństwem matka nie opuszczała go ani na chwilę. Czuł zawsze jej miękkie, ciepłe kudły przy sobie. Łaszcząc się, przyciskał pysk do matczynej gorącej skóry i młaskając szukał jej piersi, nabrzmiałej słodkim, gorącym pokarmem. Czasem przy tym prychał głośno ku wyraźnemu niezadowoleniu starej.

Zaczynał umieć patrzeć i dziwił się niezmiernie wszystkiemu, świdrując wesołymi ślepkami otaczający go świat.

W barłogu pod opieką matki czuł się jeszcze długo spokojny i bezpieczny. Czasem tylko zaniepokoił go głośny furkot

przelatującego jarzábka lub hałas skrzydeł głuszca, zrywającego się do lotu z pobliskiego drzewa, po przespanej nocy. Czasem kamień jaki nie wiadomo przez kogo z góry pchnięty, staczał się z hałasem na dno przepaści, lub tuż obok w barłogu przeciskała się przez wilgotne kamienie, z cichym skrzypieniem chropowatej skóry, salamandra.

Powoli przyzwyczał się do tych odgłosów i przestały go niepokoić.

Raz ujrzał coś niecodziennego, coś zupełnie nowego, ze swej kryjówki. Nie przestraszył się, ale bardzo zdziwił.

Był to człowiek. Stał na wystającym głazie skalnym przeciwległej ściany przepaści i trzymał w rękach śmiercionośny karabin. Człowiek stał długo nieporuszony, wpatrując się w ginące za zakrętem skały kamieniste dno przepaści, skąd dobiegało chwilami głucho, dalekie ujadanie psów.

Z za zakrętu wypadł z głośnym sapaniem wielki dzik, rozsypując po drodze naniesione przez wodę kupy drobnych

kamieni. Nagłym ruchem zatrzymał się w miejscu i zamarł w nasłuchiowaniu. Dalekie ujadanie psów umilkło; wykorzystał ten moment człowiek. Zmierzył, długo mierzył — i wreszcie huk strzału targnął powietrzem, aż drobne kamyki ze skalnych ścian się posypały.

Dzik zdziwiony i ogłupiały stał dalej — nietrafiony...

Człowiek wolniutko, bezszelestnie repetował broń, gdy nagle:

— Dzińń! Dzińń!! Dzińńń!!! — głośny, ostry dźwięk spadającej mosiężnej łuski przeszył powietrze.

Dzika już nie było!

Człowiek pokiwał głową, zarzucił powoli broń na ramię i drapiąc się leniwie na górę zniknął w gąszczu młodej buczyny.

Nasz niedźwiadek, ani tego widowiska, ani intencji człowieka jeszcze nie rozumiał.

Przyszło upalne lato. Młody niedźwiedź rozrósł się i zmęźniał. Na długich wędrówkach pod opieką matki niejedno zdo-

był doświadczenie. Do swego barłogu pod bukiem zaglądali coraz rzadziej, kontentując się w swych marszach przygodnymi kryjówkami.

Człowieka już widział nieraz. Raz nawet dużo ludzi. Było to po wielkiej wiosennej ulewie. Wezbrane wody górskiego strumyka popychały i obracały przed sobą ogromne kamienne głązy. Stara niedźwiedzica, wiedzona instynktem i doświadczeniem, opuszczała pośpiesznie wąwóz, w którym groziło im zatopienie lub zasypanie. Postanowiła sforsować w najbezpieczniejszym miejscu rozszalałą wodę.

Nie zwracając uwagi na zastęp robotników, pracujących nad zabezpieczeniem brzegów rwącej rzeki, wyszła najpierw sama dla zbadania sytuacji. Zmierzyła groźnie zbaraniałych ludzi i przywołała małego. Podniosła go wysoko i prostując się na tylnych łapach, przeszła na drugą stronę rzeki, rozcinając swym cielskiem bijące w nią fale.

Widział też czasem ludzi koszących trawę na małych górskich łączkach. Pod-

glądał ich nieraz przy dymiących huculskich szałasach, to znów przy waleniu i spalwie niebotycznych drzew.

Raz udało mu się nawet ukraść ze schowanych pod krzakiem prowiantów, kawał słodkiego kukurydzianego placka. Bardzo mu smakował...

Od tego czasu podkradał się coraz częściej do człowieka; myszkował przy sadybach huculskich i pasterskich kolibach.

Czas płynął. Mijały jedna za drugą pory roku, a z nimi lata. Matka, stara niedźwiedzica, dawno go już opuściła. Pozostawiony sam sobie, zdany tylko na swoją odwagę i spryt, dawał sobie radę.

Nie bał się niczego. Nawet — człowieka.

Pewnego razu, objadając słodkie, czerwone maliny, unosząc się na tylnych łapach, zaszywał się coraz głębiej w wysoki gęsty maliniak. Delektując się jagodami i liśćmi, ani się spostrzegł, kiedy swój kosmaty łeb wsadził między dwie babskie głowy. Baby ze strasznym krzy-

kiem rzuciły się do ucieczki. W miarę ich oddalania się hałas wzrastał, zasilany wrzaskami innych kobiet, uciekających z maliniaka.

Wszystkie kosze pełne jagód pozostały w maliniaku.

Oj! Użył sobie wtedy, użył!

I dziwił się coraz bardziej człowiekowi... Nie pojmował jeszcze jasno jego ucieczki.

A gdy innym razem zwabiony dziwną melodią dzwonek napelniającą ciszę leśną, znalazł się nagle wśród stada bydła i owiec na poloninie, a strzegący stad ludzie pierzchli w popłochu, pozostawiając cały swój dobytek na jego pastwę — zrozumiał...!

Zrozumiał dopiero teraz, że człowiek go się boi.

Zrozumiał, że okrzyk grozy — „Bury“ !!! — który zawsze słyszał z ust spłoszonych ludzi był jego synonimem.

Uciekał przed nim przerażeniem zdjęty człowiek, chociaż niedźwiedź nie żywił względem niego żadnych złych za-

miarów. Uciekały w panicznym strachu zwierzęta.

Nawet wilki, te górskie rabusie połonin i hal ustępowały mu z drogi. Zastał ich raz kilka nad potokiem dorzynających, drgającego jeszcze, rozciągniętego na ziemi, zgonionego jelenia. Mruknął groźnie i odgonił precz zziających długą gonitwą rzeźników.

Wilki usiadły opodal i tęsknie spoglądały na kawały świeżego, ciepłego mięsa, ginącego w gardzieli niedźwiedzia. Gdy najadł się do syta, a z jelenia zostały tylko grubsze kości, wyprostował się, otrząsnął i majestatycznym krokiem odszedł od miejsca uczty.

Wilki natychmiast rzuciły się na resztki kości. Gryząc się, wrywały sobie marną zdobycz pozostawioną wspaniałomyślnie przez niedźwiedzia. Ten obejrzał się i przystanął...!

Wilki zamilkły i znikły, unosząc ze sobą resztę ochłapów.

Wtedy wyszedł na skały, wysoko, zatoczył wzrokiem po widnokręgu i—zaryczał!!

Zrozumiał, że jest potężny!

Poczuł się niepodzielnym panem tych zworów, przepaści i gór.

* * *

Hryć Ostapiuk nie mógł spać tej nocy.

Przewracał się z boku na bok pod ciepłą baranicą, męczył się, a sen nie przychodził. Drażniło go chrapanie baby śpiącej z dziećmi na przypiecku i ten półmrok w izbie, wciskający się do wnętrza przez małe zamarznięte okienko.

Wstał z pośłania, przeszedł się po izbie, poprawił podściół cieleciu zimującemu w chałupie i podszedł do okna. Wychuchał w zamrozie dziurkę i obrzucił przez nią okiem kawałek nędznego huculskiego obejścia, zalanego w tej chwili srebrno-pomarańczowym blaskiem miesiąca.

— Nie, i dzisiaj jeszcze nie...! — pomyślał kręcąc głową. — Za widno...! Ponowy prędko nie będzie... Trzeba jeszcze poczekać...

Pokręcił się po izbie i pozornie uspokojony wrócił na pośłanie.

Niedalej jak przedwczoraj natrafił Hryć na gawrę zimową Burego. Wiedziony przecuciem starego kłusownika piał się coraz wyżej w sypkim śniegu w dzikie strony gór, dokąd człowiek w lecie rzadko, a w zimie wcale nie zachodzi, skąd staczają się głązy i odłamy skalne, pośród bladej zieleni poszycia rzadkich świerków.

Tam właśnie trafił na śniegiem zasypaną gawrę, a instynkt mu mówił, że przesypia w niej zimę on — Bury.

Hryć myślał w tej chwili o tym odkryciu...

Znał przecież dobrze kryjówki zimowe innych niedźwiedzi, wiedział dokładnie ile ich było, bo należało to do jego obowiązków służbowych. Był gajowym.

Niedźwiedzie w jego rewirze były pod stałą ochroną, a Bury jako okaz najpiękniejszy, był oczkiem w głowie administracji leśnej.

Hryć Ostapiuk łączył w sobie dwa upodobania. Był gajowym z zamiłowania do kłusownictwa, a kłusować mógł tylko dlatego, że był gajowym. Mieszkał we wła-

snej, trudno dostępnej sadybie, zawieszonej na cyplu skalnym jak gniazdo jastrzębia i nie zamieniłby jej na żaden budynek administracyjny, w jakich mieszkali po dolinach inni gajowi.

Ileż to razy tylko dzięki temu udało mu się trzepnąć po cichu dzika, kozła, czy nawet jelenia i kulawy pies o tym nie wiedział.

Teraz jednak chodziło o grubszą stawkę.

Burego znała dobrze cała administracja. Brak takiego niedźwiedzia zaraz na wiosnę zauważą inni gajowi. Ryzyko duże. Ale i pokusa wielka.

— Za skórę Burego można by dostać dużo, dużo pieniędzy... — myślał.

— Trzeba tylko mądrze i spokojnie wszystko obmyśleć... Bo jeżeli on nie dostanie Burego, to kto mu zaręczy, czy nie zrobi tego kto inny... — usprawiedliwiał się przed sobą.

Przecież już nieraz uderzało go w rozmowach z innymi gajowymi zbytnie interesowanie się dzikimi mieszkańcami

jego rewiru. Kto wie, jakie ma zamiary taki Jurko Nakładiuk, czy Iwan Psaruk. Albo ten lis Grega z Czorczyzna, o którym szła między strażą gadka, że zwierzęnę po cudzych rewirach bije, a ze skórą aż za Rafajłową do Czech się przekrada.

— Niedoczekanie ich!

Po kilku dniach ryzykowny plan dojrzał w Hryciowej głowie.

Czekał na czas odpowiedni.

A kiedy słoneczna pogoda ustąpiła dniom ciemnym, pochmurnym i opętańczym wyciom wichrów po górskich zworynach, zarzucił karabin na plecy i ruszył w górę.

Walcząc z wichrem i wściekłą śnieżną kurzawą, która zacierając za nim ślady, była dziś jego sprzymierzeńcem, wspinał się coraz wyżej do jemu tylko wiadomego miejsca.

We wnęce nad urwiskiem była zimowa gawra niedźwiedzia. Kupa chrustu, czy gałęzi przysypana bielą nicby nie

mówiła, gdyby nie czarna plama wytopionego przy ziemi śniegu.

Hryć blisko nie podchodził, bo nie-dźwiedź w razie czego miał tylko jedno przejście i nie daj Boże z nim się tam teraz spotkać...!

Stanął wysoko, na skraju skały, w bezpiecznym miejscu i mając na oku gawrę zdjął karabin. Wahał się jeszcze chwilę, wreszcie zdecydowanym ruchem podniósł broń do oka, wziął na cel czarną plamę gawry i — strzelił!

Na moment wszystko wokoło zamarło, — jakby zdziwione odgłosem strzału. Nawet wicher przerwał na chwilę swą dziką serenadę i wyprostował struny swej harfy — świerki rozhuśtane.

W gawrze poruszyło się coś. Z kupy śniegu i gałęzi, prychając i mruczając, podnosił się — Bury.

Hryć poznał go od razu. Zaślepiiony już żądzą strzelił raz i drugi do rozbudzonego zwierzęcia. Niedźwiedź trafiony, ryknął krótko, skręcił się w miejscu i już, już miał runąć z nawisem śnieżnym w urwi-

sko, gdy raptem, odzyskując świadomość sytuacji, rzucił się do ucieczki.

Hryć repetował błyskawicznie karabin i posyłał kulę za kulą. Niedźwiedź potykał się i przewracał otrzymując coraz nowe rany, lecz uchodził, aż znikł z pola obstrzału.

Hrycia krew zalewała...

Trzy dni chodził na próżno za krwawym tropem, aż mu zginął pod nową warstwą grubego śniegu i sił do chodzenia zabrakło. Dusił się z bezsilnej wściekłości na myśl, że zwierzę może paść z wycieńczenia i ran w innym rewirze i stać się czyjąś łatwą zdobyczą.

Tymczasem Bury głodował, lizał się z ciężkich ran i ginąć nie myślał. Owładnęło nim nowe, nieznane dotąd uczucie... Człowiek zaszczerpił jad nienawiści do siebie w czystej jaźni zwierzęcia...

Przyszła wiosna. Śniegi spłynęły z gór. Zielone połoniny znów rozbrzmiały jęklwym rozgłosem dzwonek i gwarem stad bydła, owiec i koni.

Bury wycieńczony nie dospaną zimą, ranami i głodem, zaspakajany tylko obdzieraną z drzew miazgą, zaczął myśleć o intensywniejszym odżywianiu się. Podchodził pod stada i wypatrywał łupu.

Wybrał raz konia, który zbytnio oddalił się od stada... Udało się!

Od tego czasu z każdym dniem stawał się bezczelniejszy. Nie zważając na szczekanie psów, ani głosy ludzi, podkraadał się pod stada, wypatrywał na uboczu pasącego się konia, wskakiwał mu niespodzianie na grzbiet i jednym potężnym uderzeniem łapy rozciągał martwym na ziemi. Zdobycz swą ciągnął kilometrami w górę i tam sobie ucztował.

Strach powiał przed Burem po połoninach. Ale przerażenie dopiero ogarnęło ludzi, kiedy uderzeniem łapy pozbawił życia jednego z pastuchów, gdy uzbrojeni w widły odcięli mu drogę od stada.

Administracja uznała Burego za osobnika wyjątkowo niebezpiecznego i Hryć Ostapiuk otrzymał polecenie natychmiastowego zastrzelenia go. Cieszył się Hryć

w duchu, że tak się wszystko gładko układa, chociaż teraz w okresie lata i strzelony na polecenie administracji, niedźwiedź nie przedstawiał prawie żadnej dla niego wartości.

Tymczasem Bury, jakby czuł co się święci, stawał się nieuchwytny, coraz bardziej podstępny i zbrodniczy. Człowiekowi, spotkanemu na swej drodze, nie darował.

Uciekali ludzie ze stadami z gór... Opustoszały połoniny... Do władz posyłały się skargi i żale.

Administracja urządziła obławę, jedną i drugą, — Burego nie było. W trzeciej zginął Jurko Nakładiuk, jeden z najdzielniejszych gajowych. Na wąskiej skalnej ścieżce spotkał się nagle oko w oko z Burem, ze strachu stracił równowagę i runął w przepaść.

Tego już było za wiele! Wyznaczono wysoką nagrodę pieniężną.

I to nie pomogło. Minęło lato, mijała już jesień, a Bury szalał i krył się po górach.

Zbliżała się zima, a z nią w Hryciowej głowie powstawały nowe plany. Pokusa odżyła na nowo... Do skóry dochodziła jeszcze wielka nagroda.

Jakież jednak ogarnęło go bezgraniczne zdumienie i niepokój zarazem, gdy po pierwszym niespodzianie spadłym śniegu, ujrzał nocne tropy Burego tuż przy swojej sadybie. I odtąd codziennie prawie znajdował je w coraz to innych miejscach na swych utartych ścieżkach lub przy zagrodzie.

To go upewniło, że zwierzę na niego poluje, ale odwagi mu nie zabrakło:

— Sam mi w ręce wlezie! — pomyślał i podzielił się tym spostrzeżeniem z resztą rodziny.

Niedługo na to czekał. W kilka dni później zetknął się ze swym wrogiem, ale niedźwiedź umknął z pola nierównej walki. Hryć posłał za nim kulę i poszedł na trop. Trop lekko krwawił...

Znów upłynął miesiąc jeden i drugi. Góry i jary spoczęły pod grubym całunem śniegowej bieli i trwały w majestacie ciszy.

Czasem tylko ptak jaki lub wilk włóczęga spokój lasu zakłócił. Niedźwiedzie zapadły w głęboki sen zimowy.

Hryć znał już wszystkie gawry w rewirze. Gonił codziennie w inną stronę lasu, szukał, badał, przenikał wzrokiem kupy chrustu i gałęzi, podglądał pod wywroty i załomy skalne, i przeczucie mówiło mu, że tam nie znajdzie Burego.

Aż raz...!

Zarzuciwszy jak zwykle karabin na plecy wyszedł po południu do lasu. Przeskoczył za oborą przełaz, skręcił na ścieżkę i kopnął się w górę.

Niedaleko chaty, zagradzał w poprzek ścieżkę rosochaty wywrot jaworowy. Leżał tam od jesieni. Przechodzący ścieżką ludzie obrabali mu z wierzchu gałęzie dla ułatwienia sobie drogi. Gruby jego pień wsparty na ziemi na niezliczonych gałęziach czerniejących w śniegu, wyglądał jak długa, ogromna stonoga.

Hryć lekko wskoczył na ośnieżony wywrot i zdało mu się, że usłyszał jakiś ruch za sobą. Odwrócił się, chwilę słuchał

podejrzliwie, ale oprócz skrzypienia wrót na swej sadybie, żaden inny odgłos go nie doleciał.

— Iii! Zdawało mi się — pomyślał i — w tej chwili potężne łapy, uzbrojone w potworne pazury objęły go wpół... Na karku poczuł gorący oddech bestii...

Wrzasnął strasznie, aż echo odbiło po górach. Chciał dalej krzyczeć i już nie mógł... Czuł jak w śmiertelnym uścisku pękło drewniane łożo broni, a potem bez bólu, w jakimś piekielnym odrętwieniu, pękały jego kości...

Czuł jeszcze, że go niedźwiedź gdzieś niesie, w jakąś obcą nieznaną mu drogę, a długą i daleką...

Ostatni błysk świadomości upewnił go, że jest to jego ostatnia droga...

— — — — — — — — — —
Przeraźliwy krzyk Hrycia usłyszała żona, wracająca z wodą od źródła. Złapała syna wyrostka za rękę i pędem puścili się ścieżką. Trop zwierzęcia i plamy krwi na zdeptanym śniegu, powiedziały jej wszystko...

Zawróciła do domu.

Po kotlinach zapadał wczesny zimowy zmrok. Zachodzące słońce posuwało się szybko ku fioletowym wierzchołkom gór.

Z sadyby Hryciowej wystrzelił w doliny rozpaczliwy jęk huculskiej trombity i drgał długo w mroźnym, czystym powietrzu — odgłosem grozy...

Po dolinach już wiadano, że u Hryciów stało się jakieś nieszczęście.

* * *

Hryć Ostapiuk, niegdyś gajowy i kłusownik, żyje do dziś dnia jeszcze przykuty do swej dusznej i mrocznej izby nieszczęściem dożgonnego kalectwa, i opowiada rzadkim w tych stronach turystom swoje smutne dzieje.

Znaleziono go wówczas zagrzebanego pod stosem gałęzi i zgniłych liści, opodal nieszczęsnego drzewa.

Bury gdzieś przepadł bez wieści i tylko po nim legenda została.

BAJECZNY KAWAŁ
CHITREGO

Zdarzyło mi się raz być uczestnikiem polowania na terenach leśnych jednego z majątków w kieleckim.

Był styczeń. Pogoda śliczna. Mróz siarczysty.

Polowanie, jak każde polowanie z nagonką, obfitowało w mniej lub więcej interesujące epizody, najczęściej wesołe. Te ostatnie zwłaszcza, które tu opiszę, miały miejsce po tak zwanym „myśliwskim śniadaniu“.

Śniadanie to było, jak każde takie myśliwskie śniadanie, mieszaliną najrozmaitszych wytworów monopolowych z domowymi przyprawami, które pod mianem wiśniówek, cytrynówek i innych miętówek dostawały się do zgłodniałych myśliwskich żołądków.

Po takim „coktailu“, każdy czciciel Świętego Huberta czuł się wyśmienicie.

Nawet nie mający jeszcze nic na rozkładzie starali się wmówić w innych i w siebie, że ich powodzenie wenatorskie zaczyna się zawsze dopiero po śniadaniu.

Ponieważ myśliwych była spora garstka, potworzyli grupy, w których głośno i wesoło rozprawiano.

Pociągnęła mnie gromadka, w której było najweselej.

Tu przedmiotem dobroduszných żartów był wysoki staruszek, zwany przez wszystkich myśliwych „dziadziem“, właściciel przedpotopowej strzelby kapiszonówki*), o wielkim kalibrze, niespotykanym dzisiaj wśród broni odtylcowej**).

Myśliwi, otoczywszy dziadzia kołem i przytupując dla rozgrzewki nogami, dali upust swej fantazji, porównując dziadziową strzelbę do rur, armat, pomp, młotów i innych podobnych przedmiotów niecodziennego użytku.

*) Kapiszonówka = staroświecka broń palna, nabijana prochem i śrutem od przodu przez rurę lufy.

**) Broń odtylcowa = nowoczesna, nabijana gotowymi nabojami.

Żartom nie było końca. Dziadzio przyjmował to wszystko z uśmiechem pobłażania czy politowania, temu i owemu dowcipnie się odciął, a zwykle odpowiadał:

— He! He! Młokosy! Jeszcze wam stary da bobu! Zobaczycie!

Nawiasem trzeba dodać, że dziadzio był znanym w okolicy kawalarzem i na swój wiek bardzo dobrym strzelcem. Dowiedziałem się o tym w innej grupie myśliwych, która komentowała właśnie ostatnie jego kawały.

— Kilka dni temu wyszliśmy z dziadziem i aptekarzem — ciągnął opowiadanie jeden z myśliwych — połączyć trochę za zajaczką po polach. Ja i dziadzio mieliśmy już po dwa koty, a aptekarz cztery pudła na rozkładzie, kiedy dziadzio zaproponował odpoczynek na skraju małego chłopskiego zagajnika. Nim usiadł z nami, pogadał z chłopakiem, który nosił zające. Słyszałem tylko, że kazał mu je zanieść do wsi.

— Odpocząwszy, przeszliśmy zagajnik i wychodzimy na pola, gdy wtem dnia-

dzio łapie aptekarza za rękaw i pokazuje palcem o kilkanaście kroków stojącego w bruździe zająca... Zwąchałem od razu kawał, bo jak żyję jeszcze w takiej pozycji żywego i tak stojącego zająca nie widziałem...

— Aptekarzowi oczy wylażą na wierzch, wali raz, drugi, kot ani drgnie. Nabija, i za trzecim strzałem jest efekt — kot się przewrócił. Ryczymy ze śmiechu. Aptekarz patrzy na nas, patrzy i — zrozumiał... „Niech was diabli...“ rzucił wściekły i poszedł.

— To dziadzio niewinnie zażartował sobie z aptekarza i kazał chłopakowi ustawić w bruździe zająca.

— To dobre! No i co? Gniewa się pigularz? — padło kilka pytań.

— Gdzieżtam, wieczorem zastałem ich razem u proboszcza na „preferku“ w najprzykładniejszej zgodzie. Aptekarz nie bacząc na karty, zerwał się na mój widok i odciągnawszy mnie na bok, prosił o zachowanie przygody w tajemnicy. Ale nie mogłem mu tego przyrzec... Wierzcie mi!

— Panowie! Proszę na stanowiska! —
przerwał te gawędy głos gospodarza.

Wszyscy skierowali się powolnym krokiem za gospodarzem na linię, dla zajęcia stanowisk.

* * *

Dziadzio szedł przodem, o czymś z gospodarzem rozprawiając, a z tyłu od grupki do grupki biegał mały śmieszny człowieczek, o zadartym nosie, nastroszonych rudych wąsikach i oczkach śledzia. Ubrany w elegancki strój myśliwski, którego dopełniała oryginalna bobrowa czapa, biegał to tu, to tam, wszystkim coś szeptem tłumacząc. Dziadzia starannie unikał i trzymał się stale od niego w pewnej odległości.

Pan Chitry, takie bowiem było tego małego pana nazwisko, był właścicielem małego majątku Rybodoje, wyróżniającego się tym od innych, że regularnie co kilka lat zmieniał właścicieli, przez których z pedantyczną dokładnością i po-

śpiechem był prowadzony do ruiny. Chitry, według ogólnego mniemania, był wiernym naśladowcą swoich poprzedników.

Jeżeli chodzi o łowieckie zagospodarowanie Rybodojów, to właściciel zawsze dowodził, że jest zamiłowanym myśliwym i hodowcą zwierzyny (oprócz niego nikt tej opinii nie podtrzymywał), a nawet czasem twierdził w przystępie humoru, że pochodzi w prostej linii od Nemroda. Złośliwi twierdzili, że od... Bachusa, ale to pewnie przesada...

Mam wrażenie, że był to chyba jeden człowiek, który niechęcią darzył dziadzia.

Pech chciał, że na jakimś polowaniu w Rybodojach nie było zupełnie w miotach zwierzyny. Dziadzio zainicjował wówczas w tajemnicy przed gospodarzem huraganowy ogień z dubeltówek w jednym z miotów, ot tak sobie, „niech się Chitry ucieszy“, czym naraził się na jego wieczystą niechęć, a nawet chęć zemsty.

Właśnie teraz, kiedy myśliwi zaczęli rozchodzić się na stanowiska, musiał

mieć Chitry jakąś pułapkę przygotowaną na dziadzia, bo zakrzyknął:

— Dziadziu! U mnie na polowaniu chciał pan strzelać do mojej czapki bobrówki... Dzisiaj po skończonym miocie służę! Zgoda?

— Zgoda! — odrzekł flegmatycznie dziadzio i zajął spokojnie wyznaczone mu stanowisko.

Na stanowisku sąsiadem moim był teraz Chitry. Przed ruszeniem naganki przybiegł do mnie i zaczął gorączkowo:

— Proszę pana! Zaraz po miocie urządzę bajeczny kawał! Musicie tylko panowie zrobić dłuższą przerwę i zaga-dać starego... Odwrócić jego uwagę od strzelby... Ja mu śrut z luf wykręcę... Niech potem wali w moją bobrówkę i w co chce... Bajeczny, bajeczny będzie kawał!

Pobiegł drobnym krokiem z cichym chichotem Satyra na swoje stanowisko.

— Psiakość! Będziesz się miał z pyszna dziadziu! — pomyślałem wesoło.

Po skończonym pędzeniu, zebrano się znów w gromadkę i poczęto częstować pozostałością ze śniadania. Dziadzio, jak to było jego zwyczajem, powiesił strzelbę na drzewie.

Ktoś go zaraz wyciągnął na jakieś opowiadanie, a Chitry zaczął majstrować tymczasem koło jego „armaty“. Po chwili zaś i on wmieszał się do rozmawiających i tylko wtajemniczeni mogli dojrzeć tryumfujące błyski w jego wylupiastych oczkach.

— Proszę panów! — zaczął Chitry z ironicznym uśmiechem — Wiadomą jest rzeczą, że z dziadziem mamy się na pieńku! Proponuję taki pojedynek... Rzucam swoją czapkę w górę, niech strzela, jak trafi, przebaczę mu i podam rękę na zgodę... Wyzwanie moje, jak panowie słyszeli, już przedtem przyjął!

— Moi kochani! Ee... Dajcież spokój staremu! — ociągał się dziadzio.

— Oo! Dziadziu! Tak nie można... Dać szkołę Chitremu...! — odezwały się prowokujące głosy.

— Ha! Trudno! Jak chcecie to wam pokażę, jak dobrze starego nabierać i jak kto na tym wychodzi! — odrzekł i poszedł po strzelbę.

Przygryźliśmy wargi, by nie parsknąć śmiechem.

Dziadzio przyjął pozycję gotową do strzału, Chitry wyszedł kilka kroków na przód, zdjął czapkę z głowy i wymachując nią, krzyknął:

— Dziadziu! Moja bobrówka jedzie! Łup!!

Czapka wyleciała wysoko w górę.

Trrrach! Trrrach!!

Chmura dymu zasłoniła wszystko. Potem — osłupienie...

W powietrzu latają jeszcze drobniutkie strzepy bobrówki pana Chitrego, a on sam z mocno niewyraźną miną spogląda po wszystkich.

Stało się jasnym, że dziadzio uprzedzony przez Chitrego o strzelaniu do czapki, domyślał się kawału i zabezpieczył się podwójnymi porcjami śrutu w lufach.

Chitry, wysypując po kryjomu śrut z luf, nie przeczuł istnienia tam drugiej jego porcji.

— He! Hee! Młokosy! Żółtodzioby jedno! Potrafi jeszcze stary dać wam bobu! Co?! — zakonkludował dziadzio, a nasze zdumienie było potwierdzeniem tych słów.

Inicjator „bajecznego kawału“ kupił od naganiacza pstrokaty szal za kilka złotych i okręcił nim głowę.

Dziadziowi teraz naprawdę nie darował!

Mówiły o tym spojrzenia rzucone w jego stronę z pod zaimprovizowanego turbanu.

ZASADZKA

Wyprawa złożona z pięciu uzbrojonych ludzi wspinała się powoli w górę mijając wodospady Hramitnego, zwane Hukami.

Aby dotrzeć do Huków trzeba przebyć długą i uciążliwą drogę do Hryniawy, skąd idąc wzdłuż potoku Probijna, wchodzi się w ciasny, o stromych skalnych ścianach wąwóz, na którego dno zwała się w przepięknych, grozą przejmujących kaskadach, potok Hramitny.

Ludzie minawszy wodospady, po krótkim odpoczynku odbili od nich na wschód, zaszywając się na ścieżce, biegnącej ku szczytom widniejących w oddali gór, gnani głuchym echem łoskotu wód Hramitnego. Ścieżka, wijąc się po coraz bardziej stromym zboczu, robiła karkołomne wykręty, podtrzymywana gdzieś ko-
rzeniami drzew, które koszmarnymi wy-

krętasami obejmowały w uściskach kamienie.

Ludzie z wyprawy, dysząc ciężko, posuwali się w milczeniu, pomagając sobie w zwalczaniu trudności terenowych okutymi laskami lub przytrzymywaniem się gałęzi i pni, rosnących przy ścieżce krzaków.

Pochód ten, a ściślej mówiąc wyprawę myśliwską, otwierało i zamykało dwóch uzbrojonych w karabiny Huculów. Umocowane na ich poprzecznych pasach duże mosiężne blachy cechowały strażników leśnych. Ludzie ci, chociaż dźwigali na plecach olbrzymich rozmiarów plecaki, posuwali się najzwawiej, jak przystało na rodzonych synów tych gór.

Pierwszy co chwila wyprzedzał wszystkich i przystawał, czekając na posuwających się za nim ślimaczym ruchem dwóch skośnookich, żółtych dyplomatów, przedstawicieli wielkiego państwa smoka—Chin.

Obydwaj Chińczycy czując się niepewnie na tym terenie oglądali się prawie bez przerwy na idącego za nimi leśnicze-

go Wdowiaka. Wiedzieli o tym, że jest on formalnym opiekunem i stróżem ich dyplomatycznych żółtych głów. Z jego twarzy chcieli wyczytać, czy im w tych dzikich górach nie grozi nic złego.

Dobrze po południu, okropnie zmęczeni, znaleźli się na małej polanie blisko celu wyprawy. Strażnicy rozłożyli ognisko. Chińczycy opróżniając zawartość plecaków z butelek, konserw i pieczywa, zapraszali na migi pozostałych towarzyszy do koleżeńskiej uczty. Huculi, niby się żenując, skwapliwie skorzystali z zaproszenia, dziwiąc się głośno i nie na żarty, że „kitaje“ jedzą to co biali ludzie, bo zawsze przecież słyszeli, że ich pożywieniem są szczury z ryżem w miodzie.

Na szczęście egzotyczni myśliwi nic z tej rozmowy nie rozumieli. I mimo swych myśliwskich strojów, na radosnych po myśliwsku wcale nie wyglądali. Spoceni, zmęczeni, silili się na beztroski pogodny uśmiech, który ani rusz nie chciał okraścić ich żółtych twarzy. Łamaną niemczyzną porozumiewali się z le-

śniczym Wdowiakiem, kiedy zachodziła już tego konieczność.

Wyprawa miała na celu zdobycie przez żółtych gości nie byle jakiego trofeum, bo skóry niedźwiedzia. Od kilka już tygodni rzucono w górach w jednym i tym samym miejscu, na małej polance, zabite konie, aby zwabić i utrzymać niedźwiedzie. Zbudowane na drzewach trzy rusztowania-zasadzki, tak zwane ambony, oswajały niedźwiedzi ze swoim widokiem i oczekiwały tych, dawno zapowiedzianych telegramami i urzędowymi papierami, egzotycznych gości.

Tymczasem oni, pomimo zapadającego zmroku, dziwnie nie kwapili się do swoich stanowisk i do spodziewanych emocji.

— Zdaje się, że panowie są bardzo zmęczeni? — zagadnął po niemiecku Wdowiak.

Jeden z Chińczyków zaprzeczył stanowczo ruchem głowy i wstydzając się swej chwilowej depresji duchowej powstał energicznie, wyrażając żywą gestykulacją go-

towość do dalszego marszu. Opowiadał coś przy tym długo i nerwowo. Z wygarniętej łamaną niemczyzną tyrady, można było jedynie wywnioskować, że ten sześciogodzinny marsz dla niego to fraszka, że u siebie w kraju zdobywał Sy-czuan i Cin-ling bez najmniejszego zmęczenia.

Ściemniło się. Trzej myśliwi, pozostawwszy obydwóch strażników z rzeczami przy ognisku, uzbrojeni w precyzyjne sztucery, udali się w górę do miejsca conocnych uczt niedźwiedzia. Goście oprócz sztucerów dźwigali pledy i małe reflektory Winchester'a.

W miarę zbliżania się do celu wędrówki, żółtych dygnitarzy opanowywał coraz większy niepokój. Wkrótce z mroku wyłoniły się na polanie kontury świeżo rzuconego końskiego ścierwa. Oznaczało to koniec męczącego pochodu. Wdowiak stwierdził, że kierunek wiatru jest pomyślny, położył palec na ustach na znak milczenia i podprowadził gości pod drzewo. Tu gestem wskazał urządzoną na nim platformę i przystawioną

do niej prowizoryczną drabinę. Poprosił jednego z nich o zajęcie miejsca na drzewie. Tu okazało się, że Chińczycy nie mają zamiaru rozdzielić się i chcą zająć ambonę we dwójkę.

Daremnie Wdowiak zachowując jak największą ciszę, starał się wymownymi gestami, przykładając broń do twarzy i rozstawiając łokcie, wytłumaczyć im niestosowność zamiaru, ze względu na brak miejsca na drzewie i skrzepowanie ruchów przy strzale. Obstawali uparcie przy swoim i widać było, że nie rozłączyliby się w tej chwili za żadne skarby świata. Wdrapali się szybko obydwaj na drzewo.

Wdowiak, skonsternowany takim obrotem sprawy, stał chwilę pod drzewem, na którym w pozycji leżącej sadowili się goście. Widząc, że nic nie zdoła zmienić ich postanowienia, ruszył przez polanę do drugiej zasadzki.

Zatrzymał go w miejscu głośny, drżący błaganiem szept, dochodzący z drzewa:

— *Herr Förster! Bleiben sie hir bei uns!* (Panie leśniczy! Proszę zostać przy nas!).

— *Jaa! Jaa!* (Taak! Taak!) — dał się słyszeć drugi proszący szept.

Nie było rady. Wdowiak zawrócił, wdrapał się na drzewo, powiesił broń na sęku i zawisł stojąco w gałęziach, obok żółtych myśliwych, ku ich ogromnej i wyraźnej radości.

O miejscu na ambonie nie było mowy.

Zapadła noc. Trójka myśliwych trwała bez ruchu w niewygodnych pozycjach. Po jakimś czasie powoli, skryty gdzieś za górami zaczął wschodzić księżyc i rozproszył szarawym światłem zbite naokół ciemności. Wówczas po raz pierwszy dały się słyszeć od strony końskiego trupa szmery i szelesty.

W miarę wzrastania widzialności, szelest zamieniał się w coraz głośniejsze dźwięki. Już słyhać było wyraźnie rwanie końskich żył i ścięgien. A gdy po chwili księżyc, chociaż zasłonięty chmurami, oświetlił blado polanę, dostrzegli

wszyscy trzej potężne dwa kontury cielsk niedźwiedzich.

Rozległ się głośny trzask łamanych końskich kości, od którego słuchającym dreszcz przeszedł po skórze.

Śmiertelna cisza panująca dotąd w zasadzce na drzewie została przerwana głośnym szczękaniem zębów. To chińscy goście, drżąc jak w febrze, wydzwanieli zębami, zrozumiałą dla wszystkich, międzynarodową melodię strachu.

Czas na strzał był najodpowiedniejszy. Trzask łamanych kości był nieomylnym znakiem, że niedźwiedzia ucztą ma się ku końcowi.

Chińczycy, szczękając bez przerwy zębami, zaczęli manipulować głośno bronią i brząkać metalowymi oprawami reflektorów. Wdowiak zniecierpliwiony, widząc, że niedźwiedzie najwyraźniej zdradzają zamiar opuszczenia polany bez strzału, wyciągnął rękę jak tylko mógł najdalej do boku bliżej leżącego Chińczyka i, chcąc go przynaglić do strzału, szarpnął mocno za spodnie.

To co się teraz stało, trudno, ze względu na błyskawiczne tempo wypadków, opisać.

Szarpnięty wrzasnął krótko, zatrząsał rękami w powietrzu, wypuścił z rąk sztucer i byłby niechybnie zleciał z drzewa, gdyby go Wdowiak nie przytrzymał za nogę. Nie zdając sobie sprawy, w przeladowanej strachem wyobraźni, w którym uścisku znajduje się jego noga, zaczął się Chińczyk szamotać i wrywać.

W tym czasie jego żółty towarzysz zdjęty przerażeniem, błysnął oślepiającym światłem reflektora i rozświetlił na moment całą polanę. Niedźwiedzie oślepione światłem i zaskoczone hałasem stały zdziwione w miejscu.

W tym momencie, rusztowanie ambony, nie obliczone na taki ciężar, łamiąc gałęzie runęło z trzaskiem na ziemię.

Zakotłowało się pod drzewem.

Myśliwym przerażenie odjęło mowę. Wygrzebawszy się błyskawicznie z pod stosu gałęzi i szczątków rusztowania, nie myśląc o pozostawionej broni, z kocią

zręcznością podsycaną strachem wdrapywali się na drzewa.

A niedźwiedzi już dawno nie było...

Wdowiak stał na ziemi i starał się opanować sytuację. Przemówił głośno i szerokim gestem rąk zatoczył łuk dookoła, który miał przekonać niefortunnych myśliwych, że już im nic nie grozi. Dobra chwila upłynęła nim przyszli jako tako do siebie i zrozumieli o co leśniczemu chodzi.

Księżyc zalewał teraz powodzią srebrnego światła całą polanę i odnalezienie rzeczy w rumowisku nie przedstawiało już żadnych trudności.

Wdowiak, dusząc się od wewnętrznego śmiechu i pokrywając go kaszlem, proponował zejście do obozu.

Niefortunni myśliwi gorąco projekt zaakceptowali i ze sztucznie robionym hałasem rozpoczęli szybki odwrót. Jeden z Chińczyków dostał ostrego ataku czkawki, która go nie opuściła już do rana. Drugi miał ogromną ochotę wystrzelić po za siebie dla animuszu, na co pierw-

szy, czkający, nie zgadzał się, protestując głośno i nerwowo w dla nich tylko zrozumiałym języku.

Strażnicy przy ognisku czuwali. Brak strzałów i niespodziewanie wczesny powrót myśliwych zdziwił ich bardzo:

— *Pany wże tutki?* — zagadnęli obydwaj Huculi.

— *Tutki! Tutki!* Niedźwiedź nie przyszedł! — odburknął niecierpliwie Wdowiak, przecinając na ten temat dalszą dyskusję.

— *See! See!* — kręcili niedowierzająco głowami Huculi, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia.

Chińczycy przestali rozmawiać również. Okręcili się w pledy i przytuleni do siebie wlepili szpary swoich skośnych oczu w żar dogasającego ogniska.

Cisza zaległa dokoła, jedynie gdzieś daleko w dole huczały jednostajnie wodospady.

O świcie pierwsi poderwali się Chińczycy. Przynaglając wszystkich do powrotu, starali się doprowadzić do porządku

swoją garderobę, która była w opłakanym stanie po nocnych tarapatach. Że nie należały one do przyjemnych dowodziły tego liczne zadrapania na twarzach i rękach, potężny guz nad okiem u jednego z gości, no i beznadziejnie posępne miny obydwóch dostojników.

Zebrano się prędko i po kilku godzinach szybkiego marszu w doliny, cała piątka stanęła przed leśniczówką Wdowiaka.

Chińczycy milczeli całą drogę i dopiero teraz zwrócili się do leśniczego z prośbą o natychmiastowe odprawienie strażników. Chodziło prawdopodobnie o to, ażeby Huculi nie zetknęli się z ich szoferem i nie podzielili się z nim wiadomościami o dzielnych wyczynach myśliwskich jego dostojnych pasażerów.

* * *

W kancelarii Wdowiaka od kilku lat zdobiła podłogę na wpół wyprawiona skóra niedźwiedzia, która teraz ratowała sy-

tuację egzotycznych myśliwych. Wyznaczyli za nią sami cenę i zapłacili wspaniale. Za otrzymane pieniądze mógłby jej poprzedni właściciel kupić żywego niedźwiedzia nawet w... ogrodzie zoologicznym.

W godzinę później, grząc warkotem silnika przemykał się między górami rasowy Cadillac. Pędził w doliny, ku dalekiej ludnej stolicy, ku walcom rotacyjnym wielkich koncernów prasowych, by ogłosić światu wspaniały sukces myśliwski dwóch wielkich synów, wielkiej żółtej ojczyzny.

POLESKA PRZYGODA

Na wschodnim krańcu Puszczy Białowieskiej, tam gdzie liche piaski koloru popiołu przechodzą powoli w niedostępne bagna, a gęsty ciemny las zamienia się w pojedyncze karłowate drzewa i bagienne oczerety, spędziłem przed laty kilka miesięcy, jako obserwator i zbieracz drobnej fauny, z ramienia Leśnego Zakładu Doświadczalnego.

Zapchano mnie do małej poleskiej wioszczyny, odległej od najbliższej stacji kolejowej czterdzieści kilometrów i to z dobrym „*hakom*“, jak mówią Poleszucy, a od miasteczka i poczty połowę tej drogi. Drogi... Dajmy lepiej spokój tej drodze!

Po kilku pierwszych dniach, podczas których obsiadły mnie dzikie myśli owiane melancholią, taką samą beznadziejną

melancholią jaką przepojony jest cały poleski krajobraz, zabrałem się do pracy.

Ze strzelbą na ramieniu przebiegałem okolicę całymi dniami we wszystkich kierunkach zbierając różne drobne okazy. A wieczorem zmęczony zasiadałem przed chałupą swoich gospodarzy i wsłuchiwałem się w niezbyt odległe wycie młodych wilków w oczeretach, pomieszane z ostrym świstem skrzydeł całych stad dzikich kaczek, przelatujących w ciemności nad głowami.

Zauważyłem, że mieszkańcy wioski nie darzą mnie zbyt ni sympatią, ani zaufaniem, a wólczyki moje z całą baterią pudeł, pudełeczek i flaszek są dla nich zupełnie niezrozumiałe. Daremnie starałem się przygodnym rozmówcom objaśnić jak umiałem cel moich wędrówek. W odpowiedzi otrzymywałem zawsze niedowierzające kiwanie głową i „*eto bolszaja mudrost panok*“ (to większa mądrość panie). Kilka razy przy takiej okazji wyrażali znów podziw dla mej odwagi i teraz z kolei ja ich nie rozumiałem, aż wyjaś-

nił mi to dopiero niecodzienny przypadek.

Któregoś ranka obudził mnie straszny harmider we wsi.

Na wpół ubrany wybiegłem na drogę. Od wrzeszczących i lamentujących bab dowiedziałem się, że w nocy pod samą wsią na pastwisku, przy pastuchach i roznieconym przez nich ognisku, wilk zagryzł dwa konie.

I w dniu tym dowiedziałem się dlaczego uchodziłem za odważnego w oczach wioski.

Ludność nie tylko tej, ale i dalej położonych wiosek, żyła od kilku lat w ciągłym strachu o siebie i swój dobytek, terroryzowana przez jakiegoś wilka, pojedynczego, wyjątkowo złośliwego osobnika, którego nazwała „*riezakiem*“.

Wilczysko to grasowało podobno w okropny sposób raz w dalszych, drugi raz w bliższych okolicach, zarzynając na pastwiskach w biały dzień bydło i konie, przy ludziach, ku ich ogromnemu prze-

rażeniu. Że. bestia wielka być musiała, dowodziły tego ślady masakry, a naoczni świadkowie opowiadali, że wilk wielkością dorównywa rocznemu cielakowi, że łeb ma ze starości siwy — prawie biały i inne podobne, jakieś nadzwyczajne posiada cechy.

Ze strachu zacierały się granice między rzeczywistością a fantazją. Zmyślano bajki i wierzono w nie. Wierzono na przykład w to, że riezaka kule się nie imają, że do niego strzelby nie dają ognia i w inne brednie, które trafiwszy na podatny grunt siały panikę. Jeden ze starszych gospodarzy starał się nawet mnie przekonać, że riezak to na pewno nie wilk, tylko człowiek zaklęty w wilka po śmierci za jakąś karę. Może nawet z ich wioski...? Kto to może wiedzieć...? Tylu ludzi z ich nędznej wioszczyny w świat się wybrało i słuch o nich zaginął... A wiadomo... W świecie bywa różnie...!

Typowe poleskie „życzenie“, które można w tych okolicach sto razy na dzień z jednych ust usłyszeć „*kab tiabie*

wouk zariezau“ (ażeby cię wilk zagryzł) wychodziło powoli z codziennego użytku. Bo i po co komuś tak życzyć... A nuż nie daj Boże...! Tfu!!! Wiadomo...

Nasłuchawszy się najrozmaitszych prawdo—i nieprawdopodobnych historii o tym nadprzyrodzonym wilku i nie chcąc ulec ogólnej psychozie, machnąłem ręką na wszystko i więcej z nikim tego tematu nie poruszałem.

* * *

W gorące, czerwcowe południe, przeczuwając burzę, wracałem przez bagna i haszcza do domu.

Na obiad było za wcześnie.

Tuż pod wioską, nie śpiesząc się do dusznej i rojącej się od much chałupy, wyciągnąłem się na łące pod lasem, na miękkiej słonecznej trawie.

Od strony lasu miałem kupę kolczastych źerdzi świerkowych przygotowanych do suszenia siana. Tworzyły one jakby ażurową zasłonę między mną a lasem,

przez którą mogłem wszystko widzieć. I rzeczywiście w pewnej chwili miałem wrażenie, że w zaroślach między kupą żerdzi a lasem kręci się sarna. Jednak już w następnej chwili uświadomiłem sobie, że w tej okolicy sarn nie ma. Zostały doszczętnie wytępione przez kłusowników i wilki.

Wyteżyłem całą uwagę. Odbezpieczyłem strzelbę i wysunąłem jej lufy przez lukę w sękatej barykadzie.

Czekałem tak dobrą chwilę utopiwszy wzrok w tym miejscu, gdzie przedtem coś się poruszyło i co wziąłem w pierwszej chwili za sarnę. Zapatrzony wprost przed siebie, zgłupiałem w momencie, gdy kątem oka dojrzałem wyłaniające się tuż przede mną z prawej strony cielsko jakiejś wielkiej bestii.

Było to potężne stare wilczysko, z siwym, prawie białym, łbem i grzbietem. Był tak blisko, posuwał się ostrożnie i tak wolno, że widziałem wyraźnie, jak węsząc zadzierał łeb do góry, i jak przymykał ślepią przed rażącymi promieniami słońca.

Węsząc, rozwierał szeroko nozdrza i w przerwach, dysząc z upału, otwierał szeroko pysk, wywalając z niego długi zapieniony jęzor.

Pierwszy raz w życiu zetknąłem się sam na sam z wilkiem.

I wiedziałem już co to za wilk...

Opanowałem się szybko, ścisnąłem spokojnie strzelbę, wziąłem na muszkę bliski łeb bestii i szarpnąłem nagle spusty kurków jeden za drugim...!

Suche klapnięcie kurków w próżnię nie nabitych luf...!

Załamionymi z emocji i wściekłości oczami, zobaczyłem tylko gwałtowny skręt bestii w tył, w skoku... I na tym koniec.

Zakląłem głośno!

Wracałem prędko do wsi. W głowie miałem szum i zamęt. Przypomniałem sobie wszystkie słyszane o riezaku bajdy i zacząłem chwilami w nie wierzyć, dopóki rozsądek nie wziął góry i nie poustawił myśli w należyтым porządku.

Musiałem dziwnie wyglądać wróciwszy do chałupy, bo gospodyni moja zaniepo-

koła się poważnie o stan mego zdrowia. Uspokoilem ją, chociaż stanu tego nie byłem co prawda pewny, jak i prawdziwości zdarzenia.

Tego tylko jestem pewny, że do dzisiejszego dnia nikt się w tej wiosce o mej przygodzie nie dowiedział.

* * *

Działo się to wszystko w Rosiewie.

Myliłby się ten, ktoby sądził, że ta głucha wioska spowita co wieczór gęstą mgłą, jak wata, nie miała swoich innych atrakcji.

Miała i to wiele. Między innymi do najulubieńszych należały „wieczorynki“ z tańcami przy „harmoszcze“ (harmonii).

Rej na nich wodził niejaki Soroko. Chłop wysoki, młody, przystojny, o atletycznej budowie ciała, czerstwy na gębie, zupełnie niepodobny do swych chudych i anemicznych, bladych współziomków, budził wśród nich podziw i szacunek połączone ze strachem, bo był awanturni-

kiem nie lada. Bitki czy wypitki na wieczorynkach wszczynał lub likwidował jednym zamachem ciężkiej ławy lub stołka, zmuszając swoich nieruchawych, flegmatycznych współbraci, do szybkich lub zgoła gwałtownych odruchów.

Spotkałem raz Sorokę przy pracy w lesie. Z rozmowy z nim, prowadzoną znośną na ogół polszczyzną, dowiedziałem się, że służył trzy lata w marynarce wojennej w Gdyni, ukończył kurs specjalistów morskich i pływał na transportowcu po europejskich wodach. I tu w tej swojej rodzinnej wiosce, w tym zapadłym, zapomnianym przez Boga i ludzi Rosiewie, awanturuje się i wścieka, aby zagłuszyć swoją tęsknotę za morzem...

— Ot! Żeby ja miał pieniądze, to i do Gdyni — by pojechał... Tam znajomków mam co w handlowej służą... Poprosiłby ja, pomogliiby, to i na rejs jakiby poszedł... I tam żyć. Ale co...? Pieniądzy nie masz, tu i złotego nie zarobisz, bo nie ma u kogo i gdzie! Pójść nigdzie nie możesz, bo i matka stara kaleka

w chacie, musisz jej pilnować... Bo jakże — matka...! A jak pieniędzy nie masz, to ludzie opieki nie dadzą... Ot co! Taka dola...

W tych kilku słowach zawarł całą swoją tragedię i tęsknotę za innym życiem, jakie wiodą tam gdzieś, w jakże odległej od niego Gdyni, jego dawni towarzysze. Urok tych wspomnień jeszcze bardziej musiał mu się uwypuklać w codziennym, jednostajnym prymitywie życia mieszkańców jego wioski, stojących na wyjątkowo niskim stopniu kultury.

Ziemi prawie nie miał; chałupę starą, wałącą się rudere, dylami popodpierał i czekał. Marzył...

Z rodziny miał tylko starą, ślełą matkę, wygrzewającą się codziennie w słońcu na zgniłym progu chałupy. I dla niej właściwie tylko tu siedział, zabijając czas awanturami i marzeniami o dalekich rej-sach.

Po bliższym poznaniu, obopólna sympatia nasza ugruntowała się. Zaprzyjaźni-liśmy się. Postanowiłem pomóc mu w zre-

alizowaniu, niedościgłych w jego mniemaniu, marzeń. Ponieważ zbliżał się już czas mego powrotu, ułożyłem sobie plan, niezbyt zresztą trudny, wykorzystania swoich bliższych i dalszych znajomości marynistycznych, dla swego Soroki.

I byłoby wszystko poszło dobrze, gdyby...

Właśnie to — gdyby!

* * *

Na trzy dni przed wyjazdem, wybrałem się rankiem na leśne bagna dla schwytania i wywiezienia „żywcem“ kilkunastu egzemplarzy płaskich, obrzydliwych, przyczepiających się mocno do ludzkiej i zwierzęcej skóry, a charakterystycznych dla tamtejszych okolic, muchłosiówek.

Gdy wracałem do wsi po tych wspańiałych łowach było już południe. Słońce sierpniowe, stojąc prawie w zenicie, prażyło niemiłosiernie przez korony drzew i krzaków zastygłe w cichej martwocie

bagna, zatruwające swoimi cuchnącymi wyziewami powietrze, którym dosłownie nie mogłem oddychać.

Porozpinałem na sobie wszystkie możliwe guziki i ocierając mokrą już chustką pot z twarzy, dowlokłem się pod wieś na skraj lasu i usiadłem na mostku, zatopionym w zielonym gąszczu młodej olszyny. Wyciągnąłem zmęczone utykaniem po bagnach nogi i muskany lekko przez zawiewający od strony pól chłodniejszy wiaterek, zapadłem w miłą, leniwą bezmyślność.

Wyrwały mnie z niej jakieś odgłosy, dochodzące z lasu od strony z której przyszedłem. Wstałem i wiedziony ciekawością zacząłem iść szybko w ich kierunku. Po chwili odróżniałem już pojedyncze słowa, najzwyczajniejszej chłopskiej kłótni, przeplatanej bogato soczystymi epitetami. Przez lukę w otaczającym gąszczu, zobaczyłem dwóch chłopów przyskakujących do siebie z siekierami.

Wynurzyłem się z krzaków niespodzianie tuż przy nich.

Był to Soroko, mój gospodarz Hawrosz i jeszcze jakiś trzeci nie biorący udziału w kłótni, którego nie znałem i przedtem nie zauważyłem. Wmieszałem się do kłótni:

— Soroko! Co to jest?! O co wam chodzi?

Zamiast odpowiedzi zaciętrzewiony Soroko przyskoczył znów do Hawrosza i wywijając nad głową siekierą, obrzucił go „kwiecistą“ wiązką przekleństw. Hawrosz, człeczyna zawsze wobec mnie nieśmiały, zawstydził się i zaprzestał kłótni. Pogroził w milczeniu pięścią Soroce, zarzucił siekiere na ramię i oddalił się szybko w stronę drogi.

— O co wam poszło? — zapytałem po raz drugi wzburzonego, ocierającego brudnym rękawem pot z twarzy, Soroki.

— *Ot! Durnyj jak sobaka!* (Głupi jak pies).

Rzucił siekiere na ziemię, zwinął dłonie w trąbkę i zakrzyknął z całej siły w stronę, gdzie przed chwilą Hawrosz znikł w gąszczu:

— *Kab tiabie riezak zariezau!!!*

Nie zdawałem sobie i do dziś nie zdaję sprawy, ile czasu ubiegło od przebrzmienia ostatnich słów Soroki, gdy usłyszeliśmy okropny, przeraźliwy krzyk człowieka od strony mostku. Po kilku sekundach krzyk się powtórzył i wyrwał mnie z osłupienia, w jakie w pierwszej chwili wpadłem.

Wyrwałem nerwowym ruchem rewolwer.

— Biegiem! — krzyknąłem do ogłupiałych, jak i ja przed chwilą, chłopów i rzuciłem się w gąszcza.

Przez chwilę znów było cicho, więc na moment przystanęliśmy zamienieni w słuch...

Krzyk nie powtórzył się już. Natomiast słyhać było głuche dudnienie, które upewniło mnie, że coś się musi dziać na moście, na którym jeszcze przed dziesięciu minutami tak rozkoszowałem się spokojnym wypoczynkiem.

W kilka minut dopadliśmy mostu. W pierwszym ułamku sekundy wzrok

ześliznął się z mostu wzdłuż drogi i nic nie dojrzałem. W drugim — usłyszałem okropny charkot i skamieniałem ze zgrozy.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Dziś, opisując to zdarzenie po dziesięciu przeszło latach, dreszcz mną wstrząsa na samo wspomnienie tej chwili.

Tuż przy moście nad rowem leżała, drgając w jakichś rytmicznych podskokach, pokrwawiona masa ludzkiego ciała. Obok, nieco niżej — taka sama druga, zmasakrowanego zwierzęcia, 'zwinięta przedśmiertnym skurczem w wielki, martwy, krwawy kłęb. Wystawał z niego tylko wielki ogon wilczy i zamiętał w agonii pokrwawioną trawę, krótkimi, nerwowymi ruchami.

Wstrząśnięty i przykuty do miejsca tym makabrycznym obrazem nie mogłem przez chwilę wydobyć z siebie jednego słowa, ni gestu. Ocknął mnie z odrętwienia głos Soroki za moimi plecami. Był to raczej nie głos, ale jęk... Okropny, rozpaczliwy, nieprzytomny jęk...!

— *Panook! Panook! Szto ja skazau?!
Oj! Szto ja skazau...? Toż Hawrosz...!
Kab mienie...! Szto ja... Ooj!!*

(— Paniee! Paniee! Co ja powiedziałem?! Oj! Co ja powiedziałem...? To Hawrosz...! Ażeby mnie...! Co ja... Ooj!!)

Obejrzałem się.

Z nie bladej, ale woskowo-żółtej twarzy Soroki, oczy napelnione przerażeniem, zdawały się z orbit uciekać. Ale nie było czasu na rozmyślanie...

Wilk nie żył więc nie trzeba go było dobijać. Człowiek żył i trzeba go było ratować.

Kazałem nosić kapeluszem wodę i zlewać twarz rannego. Straszna walka musiała się rozegrać między wilkiem i człowiekiem. Ranny miał wydartą jedną stronę twarzy wraz z okiem... Z lewego ramienia przez szmaty rękawa wystawała złamana kość... Ubranie podarte w strzępy, zmieszane z krwią wypływającą nadmiernie z lewego boku i pokaleczonych piersi... Prawą ręką ścisnął jeszcze siekierę w garści, której ostrze wrąbane by-

ło pomiędzy żebra wilcze tak, że niesposób było ją wyciągnąć.

Wilk był prawie w kawałki porąbany. Gdy spojrzałem na jego siwy ze starości łeb, poznałem go...

Postrach okolicy żyć przestał!

Soroko w rozpaczy swej i przerażeniu nie był zdolny do żadnej pomocy. Kazałem jego towarzyszowi wezwać ludzi z wioski, chociaż już w uratowanie Hawrosza zupełnie zwątpilem. Rzeził bez przerwy i krew uchodziła strumieniami.

Gdy nadeszła pomoc (cała prawie wioska), położono ostrożnie rannego na deiry i smutny pochód wśród krzyków rozpaczy ruszył ku wiosce.

Po drodze odtworzyłem sobie obraz walki. Wilk musiał wyskoczyć nagle z olszyny przy moście i rzucić się na Hawrosza z jego lewej strony. Hawrosz miał prawą rękę uzbrojoną w siekiere, którą w obronie odruchowo zadawał ślepe, lecz śmiertelne ciosy, jeszcze bardziej rozjużające zwierzę... Walka trwała dotąd, aż

poharatani śmiertelnie, stali się do niej obydwaj niezdolni...

Hawrosza przeniesiono do chałupy, gdzie po blisko dwugodzinnych męczarniach skonał.

Wilka kazałem przynieść do siebie. Oddzieliłem łeb od tułowia i zapakowałem, postanawiając dostarczyć go w takim nie spreparowanym stanie Zakładowi Doświadczalnemu, jako ciekawy materiał dla prac badawczych.

Dlatego też tego samego wieczora, ślaniając się ze zmęczenia i nadmiaru wrażeń, spakowałem rzeczy, zamówiłem na rano konie do kolei i położyłem się, potrzebując wypoczynku i snu.

Ale sen był daleki ode mnie tej nocy.

* * *

W kilka miesięcy po opisanych wypadkach wysłałem trochę pieniędzy i obszerny list do Soroki, z poleceniem zgłoszenia się do jednego z biur linii okrętowej Gdynia — Ameryka w Warszawie.

Ku swemu zdumieniu dowiedziałem się w jakiś czas potem, że mój protegowany w biurze okrętowym nie zgłosił się.

Napisałem do niego drugi list, a kiedy odpowiedzi nie otrzymałem, przeprosiłem kogo należało i przestałem interesować się tą sprawą.

* * *

Upłynęło kilka lat.

Wracając z Pińska z wycieczką w radomskie, nie mogłem zwalczyć pokusy, aby nie zatrzymać się i nie odwiedzić Rosiewa. Oderwałem się po drodze od swoich towarzyszy wycieczki i przytłukłem się furmanką przed wieczorem do wioski.

Było jakieś święto, których tam ludność latem obchodzi bez liku. Chłopi porozsiadali się na drodze przed chatami, pykając dym machorki ze swych fajek, lub grubych, kręconych najczęściej w zwykłym papierze, papierosów. (Spluwanie, od czasu do czasu z namaszczeniem, dopełnia zwykle tego ceremoniału).

Przyjazd mój podziałał na ospały nastrój wioski, jak prąd elektryczny. Poznało mnie odrazu. Witano. Wypytywano.

Zapytałem o Sorokę.

— A Soroko we wsi? Nie wyjechał?

— *Jest tu!*... — zaśpiewał dziwnym głosem mój przygodny rozmówca i machnął niedbale ręką, co zrozumiałem, jakoby go we wsi mieli już dość, a awanturnikiem i zabijaką nie warto się zajmować.

Lecz w tłumie za sobą usłyszałem do kogoś półgłosem rzucone pytanie:

— *Katoryj Soroko? Durnyj?*

— *Nu da!* — ktoś odpowiedział również półgłosem.

Tknięty złym przeczuciem nie pytałem już o nic i kazałem się do niego zaprowadzić.

Chcąc sobie wyrobić osobisty pogląd na wypadki, które musiały się we wsi w międzyczasie rozegrać i których z usłyszanego przypadku rozmowy domyślałem się, rozmawiałem drogą z towarzyszczącymi mi ludźmi na razie o sprawach zupełnie obojętnych.

Ze zdumieniem konstatowałem w milczeniu, że w miarę zbliżania się do sadyby Soroki, tłum topniał. Gdy stanąłem przed na wpół już rozwaloną, dobrze mi znaną chatą, byłem zupełnie sam...

Na progu chaty, na którym dawniej wysiadywała stara, ślepa kobieta, siedział twarzą zwrócony do zachodzącego słońca, jakiś chudy mężczyzna.

Podszedłem do niego i pozdrowiłem.

Nie odpowiedział...

Zwolna odwrócił ku mnie głowę.

Zdrętwiałem...

Był to Soroko, ale jakże zmieniony... Wychudły, szerniały, o zaostrzonych rysach twarzy, które uwypuklał jeszcze przyklepiony do czoła kosmyk długich, dawno nie strzyżonych włosów... Patrzył na mnie martwym, szklanym wzrokiem.

Zagadnąłem. Nie odpowiedział... Nie poznał mnie.

Bez słowa odwrócił znów wolno, bardzo wolno głowę i skierował ten straszny swój wzrok na zachodzące słońce.

Wydarty między chmurami wąski pas ognistej czerwieni, zachodzącej tarczy słońca, odbił mu się podłużnym kleksem w żrenicach, które zdawały się nabierać innego wyrazu... Wyrazu przerażenia...

Ze szerniałych, suchych warg spłynął w przestrzeń namiętny, cichy, dziecinnie rozpaczliwy szept:

— *Szto ja skazau...? Szto ja skazau... O! Bożesz moj!! Hawrosz... Hawrosz...*

Zrozumiałem, że biedak postradał zmysły.

* * *

Jeżeli kiedyś zabłądzisz Czytelniku do tej małej poleskiej wioszczyny, rozsiadłej na grząskich mszarach i spotkasz łachman człowieka, którego najbliżsi zwą „durnym Soroką“, wspomnij na tego nieszczęśliwca historię...

Zgubiło go kilka pustych słów...

Te puste słowa, które się słyszy stale jak Polesie długie i szerokie, na każdym

kroku i bez względu na okoliczności,
wciągnięte fatalnie przez motor losu w za-
leżne tylko od niego wypadki, zniszczyły
bujne życie ludzkie, czyniąc je okropnym
koszmarem.

HUMORESKA
NA SMUTNO

Bardzo sympatycznemu prezesowi
pewnego „myśliwskiego“ kółka poświęcam...

Pociąg stanął. Za oknami wagonu konduktor sennym głosem wykrzyknął nazwę małej stacyjki kolejowej, z nieodzownym „postój jedna minuta“ i jestem na miejscu.

Wychodzę na peron. Jest godzina czwarta nad ranem i noc zimowa w pełni swych ciemności. Przy blasku marnej, naftowej lampiny, ustawionej na peronie, staram się dojrzeć, czy oprócz mnie przyjechał jeszcze na dzisiejsze polowanie jakiś inny myśliwy.

Okazuje się, że nie tylko myśliwym, ale wogóle jestem jedynym pasażerem wysiadającym na tej stacji.

Konie czekają, więc nie zwlekając jadę do miasteczka, na miejsce zbiórki myśliwskiej.

Tak oto mniej więcej znalazłem się na polowaniu, urządzone przez ultranowoczesne kółko „prawidłowego myśliwstwa“ małej mieściny i przez „prezesa“ tego kółka, nota bene solidnej tuszy restauratora, uroczyście zaproszony.

Zbiórka u prezesa, bo i czyż mogłoby być inaczej...? Goście korzystają z wygodnego lokalu, a gospodarz z... gości.

Do świtu jeszcze daleko.

Zaszyty na kanapie w jakiś kąt pokoju, staram się przebić wzrokiem kłęby dymu zawieszzone nieruchomo w oparach alkoholu i z przyzwyczajenia zrobić przegląd typów.

Śmietanka szmirusów i „kotleciarzy“, przeważnie reprezentanci pobliskiego powiatowego miasteczka i — od tytułów aż się w głowie kręci...

Jest jakiś „dyrektor“, „referent“, „prezes“ poza raz już wspomnianym, „mecenasz“, „naczelnik“ (pewnie straży ogniowej) i „dziedzic“. Chcąc się czegoś bliższego o swoich przyszłych towarzyszach dzisiejszego polowania dowiedzieć, zagad-

nałem o to gospodarza, jedyne go znajomego w tym towarzystwie.

Okazało się, że o dyrektorze, referencie i prezesie numer dwa, nie miał bliższych danych, natomiast z całą stanowczością i uznaniem twierdził, że skargi do sądów i podania do urzędów były redagowane przez ex-policjanta z takim talentem, że zyskały mu ogólnie tytuł mecenasa.

Dziedzic dziedziczył sklep spożywczy w powiatowym miasteczku.

Gospodarz oszedł do swych obowiązków, a ja nie mogąc dotrzymać myśliwskiej rzeszy towarzystwa przy bufecie, już miałem zamiar uczciwie się zdrzemnąć, gdy zainteresowała mnie wesołość i głośny dialog, prowadzony w drugim kącie pokoju:

— Mówię panu, lepiej być kawalerem. Żonaty mężczyzna, gdy znajdzie chwilę spokoju i zastanowi się, to na pewno też dojdzie do tego przekonania.

— Panie! To niemożliwe!

— Dlaczego?

— Po prostu dlatego, że żonaty mężczyzna nigdy nie ma chwili spokoju...

— Ha! Ha! Ha! A to dobry kawał! Racja! Święta racja, panie dobrodzieju! Ha! Ha! Ha! — zaśmiewał się rubasznie jakiś jegomość.

Naraz zamajaczyła przede mną w mrocznym oświetleniu pokoju potężna sylweta i usłyszałem ten sam basowy głos nad sobą:

— Pan szanowny pierwszy raz u nas i widać boi się naszego towarzystwa. Ja już, panie dobrodzieju...

— ?!...

— Joachim Tatarata jestem — spostrzegł się i wypalił jak karabin maszynowy. Wymieniłem swoje nazwisko.

— Słowo daję, panie dobrodzieju — ciągnie mój rozmówca — polowanie wspaniale się dziś zapowiada, bo bractwo pije na umór... Ja, panie dobrodzieju, od wczoraj już tu jestem... Mieszkam stale w Radomiu, gdzie mam, panie dobrodzieju, swój własny, artystyczny można powiedzieć, zakład kuśnierski.

— Dlaczego nie wyruszamy? — pytam, widząc, że się już dobrze rozwidnia.

— Czekamy na proboszcza i na tego, panie dobrodzieju, chama, jak on się tam nazywa, no...

— Któż to taki...? — pytam zaskoczony.

— Oo! To cała historia, panie dobrodzieju, nie uwierzy mi pan!

— Dlaczego — mówię — ja zawsze i każdemu wierzę w to, na czym mi nie zależy...

— Pan nie wie, bo pan nie tutejszy... W tej paskudnej dziurze jest zwyczaj, panie dobrodzieju, że kółko prosi zawsze miejscowego wójta na polowanie. Przed kilku dniami wybór wójta padł na chłopca, takiego prosto od widel, panie dobrodzieju, zwyczajnego parobka. Nasz prezes (niech go diabli!), dla podtrzymania tradycji poprosił go, pan rozumie...? Poprosił go na dzisiejsze polowanie... Taki chłop, psia jego, panie dobrodzieju, dotąd tylko w nagance chodził, a dziś będzie stał na stanowisku — ze mną, z panem,

panie dobrodzieju i to jeszcze podobno z pożyczoną strzelbą...! Tfu!

— Ostatecznie, nic jeszcze strasznego w tym nie widzę — zauważyłem — że będzie stał ze mną, czy z panem na stanowisku.

— Jakto!? — zaperzył się nie na żarty pan Joachim Tatarata — Ależ kiedy to, panie dobrodzieju, cham!

Hasło do wyjazdu położyło kres tej inteligentnej rozmowie.

Przed rozpoczęciem polowania miałem jeszcze przyjemność poznać pana wójta, chłopca o dobrodusznym wyrazie twarzy, który swoim zachowaniem się, robił biedak wrażenie wróbla, wpuszczonego do klatki z papugami.

Jestem pewny, że polowanie to nie będzie należało do przyjemnych wspomnień jego życia.

Po pierwszym miocie nadjechał proboszcz, przywożąc ze sobą kuzyna, młodego „panka“ w żakietowych spodniach i meloniku na głowie, dla którego natychmiast rozpoczęto starania o pożycz-

nie strzelby, rozsyłając na okolicę gońców.

Jakoż gdzieś po trzech miotach, obfitujących w bezskuteczną strzelaninę, znalazła się strzelba, a we mnie zaczęła się rodzić obawa...

Dotąd brałem wszystko ze strony humorystycznej. Opolowaliśmy zagajniki, teraz przychodziła kolej na odkryte pola... Alkohol wyparowywał z głów moich towarzyszy w formie niewyszukanych dowcipów i żartów. Niektórzy na nogach słabo się trzymali. Wszczynano klótnie z najbłahszych powodów.

Wypadało zrezygnować z trofeów i baczyć jedynie na bezpieczeństwo własnej skóry.

W pierwszym kotle zabijam jednak zająca, do którego — leżącego już, wali mój sąsiad z prawej strony, proboszcz, wydając tryumfalny okrzyk w stronę postoj furmanek:

— Wojciechu! Trzeci... Podjeżdżajcie i zabierajcie!

W następnym kotle, taka sama przyjemność spotyka innego myśliwego od księdza proboszcza.

A później (nie do wiary!), jeszcze raz ze mną identyczna scena i okrzyk:

— Wojciechu! Piąty...! Podjeżdżajcie i zabierajcie!

Należę do ludzi, których trudno wyprowadzić z równowagi. Ale teraz krew mnie załała. Trzepnąć — myślę — śrutem po nogach i krzyknąć:

— Wojciechu! Podjeżdżajcie i zabierajcie! (Do szpitala!).

Myśli swej oczywiście w czyn nie wprowadziłem, poprosiłem tylko „cokolwiek“ za głośno, o rozłączenie mnie na stałe z moim bohaterskim sąsiadem w sutannie.

W innym znów miocie byłem sąsiadem, szczękającego z zimna zębami, pana w żakietowych spodniach, który w pewnym momencie podniósłszy strzelbę do oka, znieruchomiał. Ujrzałem przed nim wolniutko kicającego zająca.

Nieszczęśnik usiadł na dziesięć kroków przed swoim przyszłym oprawcą i zaczął mu się z zajęciem przyglądać.

(Zapewne w swoim zajęczym życiu, nigdy jeszcze tak wystrojonego myśliwca nie widział).

Huknął wreszcie strzał.

Chyba tylko ciekawość została ukarana, bo zając rozciągnął się na śniegu, kolorując biel jego czerwoną posoką.

Pan w meloniku i żakietowych spodniach, w jednej chwili podskoczył do niego i zaczął niemiłosiernie, opętańczo wprost, tłuc go kolbą dubeltówki.

— Co pan robi...? — krzyczę — Połamie pan strzelbę!

— Oo! Już złamałem... — odrzekł, podnosząc i pokazując mi z przemiłym uśmiechem dwa kawałki strzelby.

— Biedny szaraku..! — myślę — I z takiej ręki danem ci było zginać...

Ostatni miot wypadł w rzadkich nadrzecznych zaroślach, gdzie spodziewano się lisa. Chociaż linia myśliwych była

dość długa, na całej rozciągłości miotu widać było, co się w nim dzieje.

Po ruszeniu naganki lis ukazał się rzeczywiście.

Posuwał się wolniutko i ostrożnie w stronę myśliwych, wprost na stanowisko wójta. Zorientowałem się, że ten go nie widzi.

Wszystko zamarło w oczekiwaniu.

Naraz w momencie, gdy lis znalazł się od wójta na odległość swobodnego strzału, chłopisko go spostrzegł i chyba — zwariował.

Rzucił strzelbę na ziemię, zaczął walić w dłonie i wrzeszczeć w niebogłosy:

— Ahuuu! Ahuu! Lis — trzymaj! Trzymaj!...

Zapomniał poczciwiec w tej chwili o swej roli i stanowisku społecznym — myślał, że idzie w nagance.

Po krótkiej konsternacji — sprzeczki, kłótnie, a nawet obelgi.

Dziękowałem Bogu, że wszystko się szczęśliwie skończyło i śpieszyłem do

koni, by się znaleźć czym prędzej na stacji. Pan Tatarata przyłączył się do mnie:

— A co? Panie dobrodziejku, nie mówiłem, nie mówiłem panu, że cham! Pięćdziesiąt złotych! Pięć - dzie - siąt złotych tak puścić, panie dobrodziejku, z przed nosa... Co!? Uh!!

Za chwilę wszyscy myśliwi są przy furmankach. Liczenie zwierzyny. Pożegnania. Okazuje się, że bez zdobyczy pozostaje jedynie wójt i prezes kółka.

Ten ostatni zostaje jednak przez resztę obdarowany i szczerzy uśmiech zadowolonia rozlewa mu się po jego pełnej twarzy.

Ja wracam ubogi w trofea, ale bogatszy o jedno więcej doświadczenie...

Już mam ruszać, gdy raptem prezes, jakby coś sobie niby przypomniawszy (sprytnie mu się to nawet udało), podbiega do mnie:

— Panie szanowny! Pan szanowny, słyszałem, opisuje czasem polowania w gazetach... Niech pan coś może i o nas napisze... Bardzo prosimy!

Przyrzekłem mu to najsolenniej i —
słowa dotrzymuję.

* * *

Z panem Tataratą znaleźliśmy się
w jednym przedziale. Nim zdążyłem ro-
zejrzeć się, właściciel „artystycznego“ za-
kładu kuśnierskiego owinał się w futro
i zaczął chrapać.

— Pięc-dzieś-ąt-hm — tak puścić —
hm — panie - eju...

Wyciągnąłem się na niewygodnej ław-
ce przedziału trzeciej klasy. Na dworze
była noc i odwilż.

W czarne okna wagonu siekł deszcz
i sphywał powoli po szybach ciężkimi
kroplami.

To Święty Hubert płakał.

WIELCE ROMANTYCZNA
HISTORIA

Czy może dać coś większą radość kandydatowi na „dorosłego“ mężczyznę, skubiącemu zawzięcie z dumą pierwsze pojedyncze włosy pod nosem, a który żyłkę myśliwską na świat ze sobą przyniósł, jak włóczęgi ze strzelbą na ramieniu, po wyrwaniu się na ferie z dusznych murów szkolnych?

Ileż to radości wносиły w monotonne życie szkolne takiego pomazańca Świętego Huberta, za którego i ja się już wówczas uważałem, każde „wolne“, połączone z wyjazdem do rodzicielskiego domu!

Zawsze tak się jakoś dobrze składało, że każde ferie były równoznaczne z jakimś rodzajem polowania, jak np. wakacje — kaczki, Boże Narodzenie — polowania zimowe, Wielkanoc — toki...

Toki! Nasuwa się wspomnienie, które trudno przemilczeć.

Siedział sobie raz „człowiek“ pewnej wiosenki na lekcji geometrii i zamiast słuchać dowodzeń, czy twierdzeń starego profesora-poczciwca, pobiegł myślą daleko poza mury miasta, na oparzeliska leśne oblane czerwienią wschodzącego słońca. Wyobraźnia przyniosła na swych skrzydłach obraz, we snach wiosennych wymarzony.

Czarny, skrzydlaty rycerzyk*) boru gotuje się do walki...

Słyszę coraz wyraźniej jego przeciągłe „czausziłkanie“, gdy ostro rzucone me nazwisko z katedry, przecięło brutalnie niteczkę słodkich marzeń.

Na zadane pytanie nie zdążyłem jeszcze zebrać myśli, gdy padły słowa profesora:

— Siadaj! Śpij dalej!

Incydent ten, nie miał co prawda poważniejszych następstw, czułem się jednak głupio wobec profesora.

*) Cietrzew.

Włóczęc się któregoś letniego poranka w czasie wakacji po oczeretach Nidy za ptactwem, stanąłem pewnej chwili jak wryty, uderzony niecodziennym zjawiskiem.

W jednym z dziko zarośniętych zakrętów rzeki, opodal młyna zwanego Piekleń, (prawdopodobnie od piekielnego hałasu, jakim czasem napełniał cichą zazwyczaj okolicę), natknąłem się na stojącą nad wodą — Nimfę!

„Nimfa“ miała duże, niebieskie, zdziwione moim nagłym zjawieniem się oczy, w niesfornych kosmykach spadające na czoło blond włosy, bose nogi i perkalową niebieską sukienkę.

Cofnąłem się zażenowany i nie wiedziałem co począć. Zorientowałem się, że to nikt z okolicy. Poznałem, a raczej wyczułem w niej swym „męskim instynktem“ mieszkankę miasta.

— „Sztubaczka“ — pomyślałem i stwierdziłem od razu, że jest „zjawisko-wo piękna“.

Dziwne to, że w tym otoczeniu zrobiła na mnie tak wielkie wrażenie. Podo-
bała mi się szalenie. Dziwne to tym bar-
dziej, bo przecież o tysiące takich „nimf“
ocierałem się na bruku miejskim cały
Boży rok szkolny.

Gorąco zapragnąłem ją poznać, lecz
stała na przeszkodzie moja, wrodzona
wówczas w obliczu płci pięknej, nie-
śmiałość.

Wracam szybko do domu i postana-
wiam włożyć „wszystko“ na barki mej
siostry.

Niezbadane są drogi, którymi kroczy
czasem kobieca dyplomacja.

Nie zawiodłem się i ja na niej, bo
już w kilka godzin później wiedziałem,
że obiekt mego zachwytu nosi imię Jan-
ki, ma szesnaście lat, jest uczennicą lu-
belskiego gimnazjum, przyjechała na
wieś, narzeka na brak towarzystwa i wie-
le, wiele innych rzeczy.

— Woda na mój młyn! — pomy-
ślałem.

Z siostrą moją zaprzyjaźniła się od razu, co sprawiało mi nieopisaną radość, ze względu na możliwość zrealizowania mych „ukrytych pragnień“, o których jak wówczas, tak i dzisiaj nie potrafiłbym nic konkretnego powiedzieć.

Faktem jest tylko to, że byłem „po uszy“ i „na śmierć“ zakochany.

Cały pierwszy dzień spędziliśmy we trójkę, drugiego siostra moja przyjść nie mogła, więc byliśmy z Janką tylko sami. (Co za szczęście!).

Czas rozkosznie płynął na niczym, a z rzadka wymieniane między nami słowa, były „zapachem kwiatów i słońcem“.

Ona mnie paziem, ja ją królową nazywałem.

Trzeciego i czwartego dnia Janka, z nieznanych mi powodów, nad rzekę nie przyszła.

Czarna mi rozpacz usiadła na duszy, a z niej zrodził się kaligraficzny, na całym arkuszu papieru, taki „poemat“:

O Pani! Przebaczyc racz paziowi swemu,
On ośmiellił się pisać do Ciebie,
Ale on tęskni za swoją Królową...
Wierz mu! Ach! Wierz mu! On tęskni!

Wczoraj, gdy słońko ziemi blaski słać przestało,
Paż błędził tam... by być bliżej Królowej,
On czekał, miał nadzieję i wiarę w nadzieję,
Lecz nadzieja jest panią zwodniczą...

O Pani! Paż wielkie ma jedno pragnienie —
Zobaczyć się dzisiaj z Tobą!!
Spędzić chwil kilka cudnych jak przed dwoma dniami
„Sam na sam“ — wyraz pospolity, paziowi mało znany.

Królowa raczy pomóc w tym paziowi swemu,
(Przebaczył Na pазia życzenie zbyt śmiały!)
A jeśli Królowa wyszydzi z prósb pазia,
To... Nie! Paż ma niezachwianą wiarę!

„Poemat“ został wpakowany do koperty i za kilka obiecanych przygodnemu posłańcowi papierosów, „w głębokiej tajemnicy i tylko jej do ręki“, doręczony.

To poskutkowało. Od tego czasu spotykaliśmy się codziennie, spędzając czas na polowaniu, łódkowaniu i najniewinniejszych rozmowach.

Największe zainteresowanie ku memu zadowoleniu, budziła w niej broń myśliwska i polowania. Chcąc jej zaimponować wiadomościami z tej dziedziny,

połykałem całe masy książek i podręczników. Nauczyłem ją nawet strzelać.

Jednym słowem zostałem na dobre nauczycielem i ogromnie mi to imponowało.

Kłopot miałem tylko i to poważny z przekonaniem jej, że wyrazy którymi często operowałem w swych „wykładach” łowieckich i którymi sam się upajałem, jak kłępa, badylarz, siuta*) i t. p. nie są niczym nieprzyzwoitym, lecz tylko zwykłymi myśliwskimi terminami.

Nie trafiło jej to do przekonania. Ostatni termin „siuta”, uważała za nieprzyzwoity do tego stopnia, że nie miała odwagi nawet go powtórzyć. Zabroniła mi w ogóle wszelkich terminów łowieckich używać, twierdząc, że „mój papcio też myśliwy, ale nigdy takich głupstw nie opowiada”.

Głupstwa... Według niej to były głupstwa...!

Cóż robić? Byłem teraz w rozmowach na ten temat ostrożnym i „przyzwoitym”, by nie urazić jakim „dwuzna-

*) Sarna - samica.

cznikiem“ pani mego serca, domyślającej się dwuznaczników tam, gdzie ich wcale nie było. Zresztą, mój Boże! Jak bardzo daleki byłem wówczas od nich...

Ale wszystko ma swój koniec, a wakacje zawsze przede wszystkim.

Rozjeżdżaliśmy się w różne strony. Wyjeżdżała wcześniej ode mnie.

O uczuciu swoim nigdy z nią nie mówiłem. Teraz, w ostatniej chwili, chciałem jej wszystko powiedzieć, lecz milczałem, jak zaklęty, nie mogąc z tańczących pod czaszką strzępów myśli zbudować żadnego zdania.

Byłem wściekły na siebie.

Obiecała, wchodząc już do wagonu, przyjechać na święta Bożego Narodzenia, „ze swoją własną strzelbą, na którą musi papę naciągnąć“.

Serdeczny uścisk dłoni. Uśmiech z okna wagonu. Stukot i migotanie kół, i czarny wąż pociągu znikł na zakręcie.

Pozostałem przyczepiony myślą do nadziei ujżenia jej, w myśl obietnicy, za kilka miesięcy.

Grudzień, mróz, śnieg po kolana. Ostatnie pędzenie na ostatnim polowaniu przed powrotem do szkoły.

Janka jest! Jest nawet „ze swoją własną strzelbą“.

Ma już na sumieniu zająca i kilka pudef, które ją cokolwiek wyprowadziły z równowagi. Ale to nic, bo stoi teraz na sąsiednim stanowisku, na które powoli wychodzi stadko sarnie i staje... Trzy sztuki... Kozioł i dwie kozy...

Obserwuję z napięciem zachowanie się mego ideału.

Widzę, że spokojnie podnosi strzelbę do oka... Mierzy kilka sekund... Sekundy przechodzą w minuty i — stadko pierzcha w popłochu bez strzału.

Schodzę ze stanowiska, zbliżam się do niej i widzę, że jest strasznie zdenerwowana.

— Panno Janko! — mówię — Co to było...? Dlaczego pani nie strzelała...? Był przecież rogacz i tak blisko?

— ?!

— Rogów już teraz nie mają... —
dodaje.

— Ach! Prawda...! Tak...! Zapomniałam... Ale po czym pan poznał roga-
cza...? Po czym je w ogóle do licha
teraz poznać można?! — rzekła z iryta-
cją nie ukrywając histerycznej złości.

Zatkało mnie.

Takiego pytania nie przewidziałem
i nie lada trzeba elokwencji, by jej taką
rzecz wytłumaczyć...

Przestępując z nogi na nogę, z nabie-
głymi krwią policzkami, wyjąkałem bez
związku kilka razy i w różnych przypad-
kach słowo „pędzel“, co miało ten sku-
tek, że pani moich marzeń, obrzuciwszy
mnie wyniosłym spojrzeniem prawdziwej
królowej i rzuciwszy mocno jedno słowo
„idiota“, odeszła do innych myśliwych.

Całe zajście i ten epitet z jej ust usły-
szany, uraziły mnie do tego stopnia, że
więcej z nią nie zamieniłem ani słowa
i rozstaliśmy się bez pożegnania.

Może zresztą mimo woli tylko tak się złożyło.

* * *

Los zrządził, że nie zetknęliśmy się już nigdy więcej.

Jest dzisiaj jedną z gwiazd srebrnego ekranu, zmieniła imię, nazwisko i — w sztuce łowieckiej przeszła swego nauczyciela.

Zdarzyło mi się widzieć ją w egzotycznym filmie, nakręconym z natury, gdzieś w dalekim Transwaalu i nad jeziorem Tanganika, jak się zachowywała wobec czworonożnych władców dżungli i wód afrykańskich.

Co do tego, że potrafi odróżnić dzisiaj bezrogiego kozła od kozy, nie mam żadnych wątpliwości.

Czas i podróże kształcą...

SPRAWA NR. 1313.

Norbert Galewski, popularny i modny reżyser filmowy, kiwając się na małym, chłopskim wozie, ziewał od czasu do czasu ze zmęczenia i śledził przesuający się obok niego z żółwią chyżością, monotony krajobraz.

Powietrze drgało w spiekocie czerwcowego słońca, przygniatając do rozpalonej ziemi przyblakłą zieleni roślin, wędnących pod potokami niebieskiego żaru.

Zgrzany konik ciągnął wóz po ciężkiej, piaszczystej drodze z wielkim wysiłkiem, opędzając się na próżno natrętym owadom. Sypki, gorący piasek przesypanywał się z głośnym szelestem po szprychach grzęznących w nim kół. Ten jednostajny szelest nastrojał sennie.

Galewski zdjął marynarkę i ułożył ją sobie na kolanach. Rozpiął kołnierz spor-

towej, jedwabnej koszuli, wsparł głowę na rękach i zamyślił się.

Znał te okolice dobrze...

Kilkadziesiąt lat temu, Galewscy posiadali tu na Kresach spory majątek ziemski — Rudle, który jeszcze przed wojną światową był po trochę parcelowany. Rodzice Norberta nie przywiązywali wagi do ziemi i dlatego po śmierci ojca młody Galewski odziedziczył tylko kilkaset hektarów lasu, którego władze nie pozwoliły przemienić z jakichś powodów na płynną gotówkę. Na usprawiedliwienie rodziców Norberta trzeba podać, że matka jego była rodowitą Niemką, pochodzącą z hamburskich sfer przemysłowych. Większą część życia spędzała w swej ojczyźnie, pociągając za sobą, we wszystkim uległego jej męża.

W Rudlach mały Norbert rodziców widywał rzadko, wychowywany przez całą plejadę starych i głuchawych ciotek. Po dwunastu latach domowej edukacji, ojciec wywiózł go do Warszawy, zapisał do gim-

nazjum i oddał do jakiejś bursy pod fachową opiekę pedagogów.

Tak zastała go wojna. Rok 1918 zastał go w szóstej klasie, a że chłopak był nie mazgaj, wypadki listopadowe wyrwały go z gimnazjum i rzuciły z karabinem w dłoni pod Lwów... Potem przyszła kolej na inne fronty — i tak, aż do końca wojny.

W przededniu demobilizacji otrzymał list od adwokata ojca z Warszawy, zawiadamiający go o śmierci rodzica w Szwajcarii. Po zwolnieniu z wojska natychmiast udał się do Warszawy zdobyć wieści o matce, z którą stracił kontakt, jak również zbadać swój stan materialny, o którym nie miał najmniejszego pojęcia. Tu z dość rzadką miną dowiedział się, że jest właścicielem ośmiolet-hektarowego kawałka lasu w Rudlach, zdewastowanego przez wojnę i okoliczne chłopstwo. Po rudelskich budynkach, administracji i starych ciotkach ślad nie pozostał.

Do gimnazjum po trzech latach przerwy nie było po co wracać.

Gdy tak bił się z myślami, co ze sobą robić, wpadło mu do ręki pismo z ogłoszeniem o przyjmowaniu kandydatów do jednej z nowootwartych szkół dla leśniczych.

To go olśniło.

Znużony organizm i skołatane nerwy przeżyciami ostatnich lat domagały się spokoju. Czyż mogło być w tej chwili coś dla niego odpowiedniejszego...? Wyjedzie do swoich Rudli i będzie sobie gospodarował w lesie.

Skończył szkołę i tak zrobił.

Zabrał się z wrodzoną mu energią i zapalem do pracy. Zorganizował straż leśną, uporządkował las, wybudował budynki mieszkalne i utknął w... bezczynności.

Po roku już miał dość tej romantycznej, leśnej sielanki, a użeranie się z rozwydrzoną, wojenną „swobodą“, ludnością, szarpało nerwy nie mniej od życia frontowego. Poza tym jego żywy i bujny tem-

perament nie pozwalał na życie pustelnicze, na jakie się sam skazywał. Próbował nawiązać stosunki w odległych o dwaście kilometrów Łukawach, bardzo małym i jeszcze bardziej brudnym miasteczku, — nie szło.

W końcu ściągnął jednego ze swych kolegów ze szkoły leśnej, niejakiego Trzeciaka do Rudli, a sam spakował rzeczy i wyjechał szukać szczęścia do Warszawy.

Trzeciak uważał, że wygrał los na loterii, a Galewski zmykał jak przed zmorą do wielkiego miasta i ludzi.

W Warszawie spotkał przypadkowo dawnego kolegę z ławy gimnazjalnej, obecnie operatora filmowego i fakt ten zadecydował o dalszej jego karierze życiowej.

Wciągnięty w ramiona dziesiątej muzy wprowadził wszystkich w podziw bystrością umysłu, rzutkością i inicjatywą. Zagrała tu w nim krew hamburskich geszefciarzy.

Po kilku latach stał się filarem wytwórni. Galewski poddawał tematy do

scenariuszy filmowych. Galewski reżyserował, Galewski pośredniczył w transakcjach, wyjeżdżał za granicę, zawierał kontrakty, robił „gwiazdy“ lub gasił je jednym machnięciem ręki, w końcu — finansował pomysły i imprezy.

Baczny na wszystko co się wokół niego dzieje, trzymał rękę na pulsie spraw finansowych wytwórni. Robił w razie potrzeby, jemu tylko wiadomym sposobem, hausse na giełdzie filmowej, dbał o artystyczny poziom produkcji i robił szybko — majątek.

Bo Galewski był urodzonym businessmanem.

Strasznie nie lubiał tego słowa. Nie cierpiał, gdy go tak nazywano. Wobec tych wszystkich otaczających go ludzi, którzy bez wyjątku w większym lub mniejszym stopniu byli też geszefciarzami, chciał uchodzić za człowieka odrębnego, człowieka idei, a nie interesu. I bardzo mu na takiej opinii zależało.

Dzieląc swój czas w gorączkowym podnieceniu, między atelier, laboratoria, ban-

ki i biura, oraz krótkie za interesami podróże powietrzne, ani się spostrzegł jak upłynęło kilkanaście lat i przyszło zmęczenie. Przez tyle lat nie pomyślał o żadnym dla siebie wypoczynku. Nawet odnalezioną matkę, która od wojny zamieszkała na stałe w Wiedniu, odwiedzał krótko raz do roku. Leciał tam samolotem, z lotniska brał taksówkę na Schönlaterngasse, nocował, a na drugi dzień był już z powrotem w Warszawie.

Dopiero jak klatki negatywów i pozytywów zaczęły mu się dwoić i troić w oczach, a ostry zapach celulozoidu, acetonu i kwasów fotograficznych przyprawić o mdłości, zastanowił się.

Zaczynał go drażnić świat w którym się dotąd obracał.

Drażniły go zakurzone, kartonowe dekoracje, sztuczne kwiaty i rażące światło reflektorów. Drażnił go widok czarnych warg i powleczonej białą emalią zębów, fiołkowych oczu, malowanych brwi i włosów na dawno przekwitłych twarzach

aktorów. Męczyła go już ta atmosfera zakłamania i tanich efektów.

Poszedł do lekarza.

— Jest pan zupełnie wyczerpany... Musi pan natychmiast przerwać pracę i wyjechać przynajmniej na trzy miesiące... Potrzeba panu dużo spokoju, powietrza i słońca... — brzmiało zlecenie lekarza.

Wtedy przypomniał sobie o swoich Rudlach.

Zebrał się szybko i nie uprzedzając nawet Trzeciaka o swym przyjeździe, znalazł się na kresach.

Jadąc teraz od stacji kolejowej, mijał na prawo ledwie widoczne na horyzoncie białe wieże kościoła w Łukawach, a przed nim majaczył już w oddali granatowy pas lasów — Rudle.

* * *

Ktoby widział Galewskiego po dwóch miesiącach pobytu w Rudlach, ten nigdy nie poznałby w nim modnego reżysera

filmowego, eleganckiego, wytwornego pana, rozrywanego w najwyższych sferach towarzyskich stolicy.

Od chwili przyjazdu, przez całe dwa miesiące, broda jego nie widziała brzytwy, a zawsze rozwichrzona czupryna, fryzjera. Postanowił użyć swobody w całym znaczeniu tego słowa. Odrzucić od siebie na czas urlopu wszystko, co miało choćby tylko pozory konwenansu, szablonu, czy przymusowej pruderii.

Z wyglądu podobny był teraz do kanadyjskiego trampa-włóczęgi z amerykańskich filmów. W krótkich, drelichowych spodeńkach, bez pończoch na nogach, w rozchełstanej koszuli i starym, wielkim kapeluszu panamskim imitującym sombrero, przesiadywał całe dni w lesie, który, dzięki troskliwej opiece Trzeciaka, zmienił w ciągu tych kilkunastu lat zupełnie swoje oblicze.

W sosnowych partiach lasu, na miejscu dawnych płazowin i halizn, stworzonych niszczycielską ręką wojny, śmigwały ku niebu nowe, gęste i równe sosnowe

młodniki. W wilgotnych miejscach pieściła oko soczysta zieleń młodej olszyny. A w niedostępnych częściach lasu drzewały jak dawniej wysokie, stare dęby i jesiony, kiwając głowami koron nad swym odbiciem w licznych zwierciadłach leśnych bagienek. Czasem zbłąkany tam między drzewami letni wiaterek muskał figlarnie długie brody porostów, koloru khaki, na strzałach drzew i suszył mokre futerka, wylegujących się nad strumykami, wyder. Wydry płoszyła tylko sarna lub jeleni biegający do wodopoju i natrętni dziki, ryjące głęboko miękką ziemię nad wodą, w poszukiwaniu smacznych robaków i korzeni.

W tych to miejscach Galewski prześadywał najczęściej z aparatem fotograficznym. Te bezkrwawe polowania absorbowwały go zupełnie i cieszył się niewymownie, gdy udało mu się chwycić na wizjer aparatu jakiegoś dzikiego, leśnego mieszkańca.

Tu był naprawdę człowiekiem idei, a nie interesu. Więcej! Tu czuł się poetą!

Siedząc raz pod koniec swych wywczasów na zgniłym wywrocie osiki, gładził swoją długą brodę i obserwował z aparatem gotowym „do strzału“, leżącą przed nim małą polankę, okoloną zwartym gąszczem leśnego podszycia. W ustroniu tym, według informacji Trzeciaka, miały dokonywać aktu miłości w czasie obecnej ruji*), sarny. Wskazywały zresztą na to ślady małych racic na miękkiej, wilgotnej ziemi.

Z gąszczów po przeciwnej stronie polanki doleciał jakiś szelest.

Tramp-fotograf zamienił się w słuch.

Dalsze krzaki poruszyły się wyraźnie i dało się słyszeć głośnie sapanie. Jakieś wielkie zwierzę musiało się przepychać do polany...

— Może łoś... — błysnęła Galewskiemu radosna myśl. Wstrzymał oddech i trzymał aparat w pogotowiu.

Z krzaków, stękając, wytoczył się niski, stary żyd, najpospolitszy wiejski, czy małomiasteczkowy chałaciarz. Niósł jakiś

*) Ruja — okres godowy u zwierząt ssących.

worek na plecach i torował sobie drogę w gąszczu sękatym kijem.

Galewski położył aparat na ziemi i jednym skokiem stanął przed żydem.

— Co pan tu robi?! — wrzasnął.

Żydek nie stropił się wcale. Obejrzał Galewskiego od stóp do głowy, poprawił znaczącym ruchem kij w garści i przybrał lekceważący wyraz twarzy.

— Nu... Ide sobie...

— Tędy?! To tędy jest droga, psia-krew...?!!

— Nuu... A którędy mam iszcz...? Może przelatać z powietrzem...? Hm...?

— Zabraniam...! Zabraniam...!! Rozumiesz draniu...!!! — pieniał się, nie pając już nad sobą Galewski i pogroził żydowi pięścią pod nosem.

Żyd uniósł kij i zamierzył się...

Galewski nie wytrzymał!

Wyrwał żydowi jednym ruchem kij z ręki i zaczął go nim okładać. Bity żyd z wraskiem rzucił się do ucieczki. Galewski gonił go jakiś czas, wreszcie oprzytomniał i klnąc, zawrócił po aparat.

W kilka dni później zdrowy na ciele i duchu, ogolony i przepoczwarczony, wypoczęty i wesoły wrócił do Warszawy.

I znów jak dawniej rzucił się w wir pracy — pochłonał go moloch celuloideu...

* * *

W końcu lutego listonosz wręczył Galewskiemu z poranną pocztą mały, urzędowy papierek:

„Sąd Grodzki w Łukawach. Sprawa Nr. 1313... Wezwanie. P. Norbert Galewski. Warszawa. Natolińska 10. Sąd Grodzki wzywa Pana do osobistego stawiennictwa dnia 16 marca b. r. o godzinie 10-ej w lokalu Sądu, jako oskarżonego o przestępstwo z art. 239 k. k. w sprawie Żelaznego. Sekretarz“. I tu nieczytelny podpis.

— Jako o-skar-żo-ne-go... Żelaz-ne-go... To musi być jakaś pomyłka... — myślał.

Zadzwoił do swego adwokata.

— Panie mecenasie! Proszę uprzejmie o odczytanie tekstu artykułu 239 kodeksu karnego...

Adwokat czytał po chwili:

— „Kto uderza człowieka lub w inny sposób narusza jego nietykalność cielesną, podlega karze aresztu do jednego roku...”

Galewski dalej nie słuchał. Podziękował machinalnie adwokatowi i odłożył słuchawkę.

— Maaasz tobie...! A tom wpadł... U-h-m... Żelazny, to ten arogancki żyd, co brał łanie w lesie... U-h-m... A no, trudno... Co będzie, to będzie... — rozumował.

Nie wtajemniczając nikogo w tę sprawę, w oznaczonym dniu zajechał przed odrapany budynek sądu w Łukawach.

Pojawienie się wytwornego, ubranego z wyszukaną lecz swobodną elegancją pana, wywołało w cuchnącej poczekalni sądowej żywe poruszenie.

Galewski musnął przelotnym spojrzeniem twarze czekających tu ludzi.

Na ławce między dwoma chłopami, kopącymi, mimo zabraniających napisów, śmierdzącą machorę, siedział w odświętnym chałacie jego żydek — oskarżyciel Żelazny.

Galewski poznał go od razu; odwrócił się do ściany i udawał, że czyta jakieś ogłoszenia ponalepiane na niej, a kątem oka obserwował swego oskarżyciela. Żyd wskazując dyskretnie oczami Galewskiego, wypytywał swoich sąsiadów, kto to jest. Tamci wzruszali ramionami.

Nie uszło to bystrej uwagi Galewskiego.

Na sali, po wywołaniu sprawy padło nazwisko Żelaznego, który zajął szybko miejsce przed sędziowskim stołem.

Wywołano z kolei Galewskiego.

Wzrok żyda biegał po sali jakby w poszukiwaniu tego, kogo nazwano Galewskim. Jakież zdziwienie i niepokój zarazem odmalowały się na jego twarzy, gdy Galewski podniósł się ze swego miejsca i wolnym krokiem, uśmiechając się przyjaźnie do niego, podszedł do sędziowskiego stołu.

Spisano najpierw generalia Galewskiego, a potem wyraźnie zdenerwowanego żydka.

— Imię i nazwisko?

— Judka Żelazny.

— Imię ojca i matki?

— Abuś i Estera.

— Ile poszkodowany ma lat?

— Czterdzieści oszem.

— Zawód?

— Hy...?

— Czym się poszkodowany Żelazny trudni, czym się zajmuje... No, z czego żyje...?

— Nyyy... Z czego ja mogę żyć...? Człowiek żyje z interesów... Handluje...

— Mieszka tu w Łukawach, tak?

— Yhy!

— Czy poszkodowany ma świadków w tej sprawie?

— Niii... — odpowiedział żyd, nie spuszczać niespokojnych oczu z pogodnie uśmiechniętej twarzy Galewskiego.

Sędzia odczytał akt oskarżenia, odzwierciedlający z drobiazgową, tendencyjną dokładnością, letnie zajście w lesie.

— Czy oskarżony Galewski przyznaje się do winy? — padło pytanie sędziego.

Żyd skreślił się w znak zapytania. Uśmiech nie schodził z twarzy Galewskiego.

— Proszę sądu! Pozwolę sobie zauważyć, że tu zaszła jakaś pomyłka... Ja tego pana — tu Galewski wskazał ręką żyda, któremu już krople potu wystąpiły na czoło — nie przypominam sobie... A czy on mnie zna...? Niech może jakoś to wyjaśni...

— Panie Żelazny! — zaczął sędzia — Proszę dać odpowiedź kategoryczną sądowi...! Czy ten pan, co tu stoi przed nami, zbił pana w lesie?!

— Niii... Ja nie wim... Chyba nii...

Sędzia spoglądał na leżący przed nim stos teczek, czekających swojej kolejki i tracił cierpliwość.

— Proszę mi odpowiedzieć stanowczo!! Ten, czy nie ten?!

Żyd złapał się desperacko za głowę:

— Ja nie wim... Ja nic nie wim...
Mnie te sprawie idzie kosztować już pię-
dziesiąt złoty... Ja...

— Panie Żelazny! — przerwał mu sę-
dzia, kładąc przed sobą zegarek. — Daję
panu trzy minuty czasu do namysłu!

Przeszło trzy minuty, w czasie któ-
rych żyd wpatrywał się natarczywie w wy-
goloną, ciągle uśmiechniętą twarz Galew-
skiego.

— No, więc! Proszę mi teraz powie-
dzieć, — indagował dalej sędzia — czy
ten pan zbił poszkodowanego w lesie...?
Proszę odpowiedzieć jednym słowem,
tak lub nie!

— Ja nie wim...

— Tak, czy nie?!!! — krzyknął sę-
dzia, uderzając pięścią w stół.

— Niii... Nii... — wyjąkał żyd.

I sprawa Nr. 1313 została umorzona.

Galewski skinął lekko głową w stronę
sędziowskiego podium i opuścił salę.

Na dworze, na miniaturowym rynku miasteczka, gdy zapalał papierosa, wyrósł przed nim Żelazny.

— Ja panu dziedzicu bardzo psiepraszam... Panu dziedzicu nima w Rudle... Ja nie znam... Mnie ino szkoda te piniondze, co ja zapłaciuł pana dochtora za szwiadczenie trzydzieszczi złoty i wysoki sądu dwadzieszcza... I ten czasu, co ja straciułem... Ja jezdem człowiek interesu... Ja bardzo... Bardzo panu dziedzicu psziepraszam...

— Panie Żelazny! — zaczął, śmiejąc się Galewski. — Niech pan będzie pewny, jak najpewniejszy, że nie mam najmniejszej do pana pretensji... Pan mnie rozumie? Najmniejszej...!

Poklepał żyda po ramieniu i dodał:

— A teraz do widzenia, bo jadę na kolej!

W pociągu raz po raz oglądał świstek wezwania sądowego i było mu bardzo wesoło. Pogwizdując z cicha, śmiał się do swoich myśli...

* * *

W rok potem wielkie reklamy kinowe elektryzowały publiczność, taką sensacyjną treścią:

S P R A W A N R . 1 3 1 3 .

WIELKA EPOPEJA MIŁOŚCI, NIENAWIŚCI I POŚWIĘCENIA, STWORZONA PRZEZ NIEMORDOWANEGO, WSZECHŚWIATOWEJ SŁAWY, GENIALNEGO REŻYSERA NORBERTA G A L E W S K I E G O KOSZTEM NADLUDZKICH WYSIŁKÓW I ZMAGAŃ. WIELKI FILM MYŚLIWSKO-BATALISTYCZNY OPARTY NA PRAWDZIWYM ZDARZENIU. NAJWYBITNIEJSZE GWIAZDY EKRAŃU. SETKI STATYSTÓW. NIEWIDZIANE DOTYCHCZAS EFEKTY. NAJWYTWORNIEJSZE LOKALE STOLICY. DZIKIE I NIEDOSTĘPNE OSTĘPY PUSZCZ KRESOWYCH. FILM ZREALIZOWANY KOSZTEM WIELU MILIONÓW ZŁOTYCH.

SPRAWA NR. 1313. — TO:

FILM PEŁEN NAPIĘCIA, ULTRA-
SENSACYJNYCH SYTUACJI
I SENTYMENTU!

FILM REPREZENTACYJNY!

FILM, JAKIEGO JESZCZE NIE
BYŁO!

FILM DLA ZNAWCÓW!

FILM DLA WSZYSTKICH!

CHŁUBA KINEMATOGRAFII!

R E W E L A C J A !

1313... huczały chrypliwe megafony...

1313... krzyczały wielkimi literami
szpalty dzienników...

1313... mrugały jaskrawym światłem
ogromne neony...

1313... 1313... 1313...

Film szedł w pięciu kinoteatrach stolicy równocześnie i robił kasę. Po kilku miesiącach obiegił ekrany wszystkich większych miast i przeszedł do lamusa wspomnień.

Norbert Galewski, człowiek idei, zarobił na swej przygodzie kilkadziesiąt tysięcy złotych. A człowiek interesu, Judka Żelazny, syn Abusia i Estery, obywatel miasta Łukawy, który nigdy w życiu kina nie widział, stracił pięćdziesiąt złotych... Położył kamień węgielny...

.

A akta prawdziwej, banalnej, nic nie znaczącej sprawy...? W ciemnej, zatechłej komórce archiwum sądowego w Łukawach, zagubiona w stosie innych podobnych, leży, nadgryziona przez myszy, nikomu niepotrzebna, cienka, zielona teczka...



SZARA GODZINA

Ojcu mojemu poświęcam...

Bardzo lubię dzisiaj te wieczory zimowe, spędzane od czasu do czasu w domu rodzicielskim, kiedy mój stary ojciec oparty o ciepły piec mrocznego, nieoświetlonego pokoju, pykając fajkę, opowiada przeróżne historie, ze swego bujnego życia.

Jego jasne, niebieskie oczy biegają wtedy gdzieś w dal. Biegają przez jasny kwadrat okna, ponad ośnieżone gałęzie drzew w sadzie, ponad białą spowite pola, gdzieś daleko, daleko, w krainę jego młodych lat — w krainę przeszłości...

Słucham go wówczas w skupieniu. Wciskam się w róg miękkiej otomany i wpatruję w ogień fajki. W przerwach opowiadania, nikły jej płomyczek rozkwita na chwilę rubinem, — a mnie się zdaje, że jestem znów dzieckiem jak przed kil-

kudziesięciu laty i słucham zaczarowanych bajek...

Opowieści - wspomnienia płyną długo nieraz z ust ojca.

Raz mają charakter wykładu lub lekcji, drugi raz są najczystsza poezją. Wszystkie owiane mgiełką tęsknoty za górami, terenem jego dawnych przeżyć i emocji myśliwskich.

* * *

— Tak! Mój kochany! — ciągnie dalej jedno ze swoich opowiadań. — Rozkoszy polowania z psami gończymi doznawaliśmy naprawdę tylko my, starzy karpaccy myśliwi. Dzisiaj nie tyle ze względów hodowlanych, ile oszczędnościowych, zaniechano tego rodzaju pięknych łowów. A szkoda! Bo kto raz w życiu słyszał koncert psich skowytów, te głosy rzewliwe, tryumfujące, lub ujadające przy gonie na oko, odbite stokrotnie o ściany górskich zworów, temu po dziesiątkach lat zabrzmie często w uszach głos jego ulu-

bionego ogara, pomykającego za dzikiem, zającem, czy lisem.

— Mógłbym pisać księgi całe o przeżytych wrażeniach z tym nieodstępnym „Zagrajem“, czy „Wypłoszem“. Przecież te polowania zmuszały człowieka do ścisłego zespolenia się z otaczającą go przyrodą, która czarem swym otrząsała z nas troski dnia powszedniego.

— Człowiek żywał się z psem, tym najwierniejszym, szczerym i nieodstępnym przyjacielem myśliwego. I chociaż ogar nie należy do tak inteligentnych psów jak wyżeł i nie daje się tresować, to posiada swe pierwotne talenty, jak węch, ścigłość i zaciętość, które wyzyskuje myśliwy.

— Pies gończy z wrodzonego popędu tropi zwierzynę, goni ją dla pożarcia, a gdy dopadnie, z zaciekłością rozszarpuje. Trudno go bardzo tego oduczyć. W najlepszym razie wbija kły w ofiarę, potem kładzie się obok zlizując z niej krew.

— Czy wiesz na przykład o tym, że pies gończy wydaje inny głos goniąc za-

jąca, inny — lisa, a jeszcze inny goniąc lub atakując grubego zwierza?

* * *

— Pamiętam jeden taki dzień, mroźny, styczniowy dzień w górach. Przesmyk w dolinie potoka Buchtowca... Śnieg do pasa... I daleki głos mego Wypłosza, zapowiedź czekającego mnie tryumfu.

Drapiąc się raz na szczyt wzgórza, to na zbocze góry, brodząc w głębokim śniegu, dopadłem jakiegoś przesmyku.

Miało się już ku wieczorowi. Śnieg błękitniał powoli, a mróz zaczął mi rękę do żelaza strzelby serdecznie przyciskać...

Nagle słyszę na zboczu góry krótki głos ogara i zaraz po nim wspaniałe, nieco niższe akordy gonu.

Zorientowałem się, że mam do czynienia z grubszą zwierzyną... Biegnę co tchu w stronę potoka na kierunek gonu, aby zabiec właściwy przesmyk... Za chwilę jestem już na nim!

Pracuję wszystkimi zmysłami równocześnie. Momentalnie opanowuję wzrokiem przypuszczalne miejsce czekającej mnie rozprawy myśliwskiej. Emocja...!

Dwie kule włożone do strzelby, mocny i pewny chwyt broni, nakazują zimną krew i spokój. Czekam...

A tu ze zbocza góry alarm...! Coraz to wspanialsze dźwięki gonu, coraz to zajądlesze i bliższe mnie... Kierunek - prosto na mój przesmyk...! Wyteżam wzrok...!

Słyszę trzask łamiącej się skorupy zmarzniętego śniegu i o kilkanaście kroków wysuwa się z za krzaka ogromna „tabakiera“ dzika. Dzik fuczy wściekle! W takim ciepłym barłogu ktoś mu śmiał sen przerwać...!

Do namysłu czasu nie było! Silny przykład strzelby do ramienia! Celne oko pogłaskało zimną stal luf, skierowanych w czarny masyw zwierza i — strzał!!!

Kula dosięgła ofiary.

Dzik przeszyty ołowiem na wylot, zwałił się ze zbocza w potok, znacząc na śniegu czerwoną strugą swój testament...

Pies, dopiero teraz dopadł zdobyczy i rzucił się na nią z wściekłością. W kark dzika wbił głęboko swe kły i trzymał mocno...

Tak widocznie w księgach Świętego Huberta było zapisane...

* * *

W pokoju zaległa cisza.

Ostatnie słowa opowiadania dawno przebrzmiały i zagaśł ogień fajki... Tylko oczy, zapatrzone w śnieżną, nocną dal, zabłysły żywiej w mrocznym pokoju...

I błyszczą długo, długo, nieświadomą łzą tęsknoty do przeżyć i lat, które już nigdy nie wrócą.

TAJEMNICA
JEZIORNEJ GÓRY

Chociaż Jeziornej Góry nie znajdziecie na żadnej, nawet najdokładniejszej mapie, ani w żadnym podręczniku geografii, nie sądźcie, że powstała ona tylko w bujnej wyobraźni autora tego opowiadania.

Góra tej nazwy istnieje naprawdę i leży w długim pasmie lasów sosnowych, na zachodnim krańcu Gór Świętokrzyskich.

Zresztą zapytajcie o to mieszkańców okolicznych wiosek, Leśnicy, Skórkowa, Trzebuchowy, czy Gnieździsk. Wioski te otoczyły leśne uroczysko pierścieniem nędznych, w ziemię zapadniętych chałup i wpatrują się dniem i nocą, otworami małych okien, czerniejących pod starą słomą rozczochranych strzech, w śródleśną, zieloną kopułę — Jeziornej Góry.

Chociaż sława tej góry sięga daleko poza wymienione wioski, na razie jest to dla nas mniej ważne i zajmiemy się samą górą.

Poprzerzynana niezliczonymi wąwozami i jarami we wszystkich kierunkach, porośnięta mieszanym dębowo-sosnowym lasem, tworzy malownicze urozmaicenie monotonnego na ogół krajobrazu.

Obcego przybysza, zjawiającego się tam przypadkiem, uderzy i zdziwi brak śladów ludzkiego wandalizmu, który rzuca się w oczy w innych częściach lasu. Na Jeziornej Górze mech, nie zdzierany latami, spokojnie porasta grubą warstwę przegniłej ścióły i stare, zbutwiałe pniaki, a nawet wystające gdzieś kamienie.

Ptaki spokojnie wiją gniazda w gałęziach drzew i krzewów, a zając zegnany z dookólnych chłopskich pól znajduje w jałowcach bezpieczne i ciche schronienie. I sarna, rzadki gość w tych stronach, czasem się zatrzyma.

A już borsuki — to istny raj tam mają. Niezliczona ilość żółtych nor wskazuje na

to, że Jeziorna Góra jest borsuczą oazą. Nie tępione i nie płoszone przez nikogo, lęgną się dziesiątkami, a może setkami, kopią w ziemi niezliczoną ilość korytarczy i do tych labiryntów ściągają na stałe z bliższych i dalszych okolic.

Nęci je spokój.

Zwierzęta zawdzięczają go złej sławie góry, a góra sławę złemu człowiekowi.

Gdzieś, kiedyś tam, przed dawnymi laty, przywędrował do jednej z pobliskich wiosek kowal, Cygan podobno, nazwiskiem Boruń. Założył kuźnię, ożenił się we wsi i miał kilkoro dzieci.

Po jakimś czasie żona, a potem sąsiedzi odkryli z przerażeniem, że Boruń po nocach wyczynia w swej kuźni jakieś niesamowite, diabelskie praktyki.

Żonę i dzieci przegonił precz za zdradę, ale i ludzie zaczęli go odtąd z trwogą unikać. Aż wreszcie spalił jednej nocy kuźnię i poszedł w świat.

Po kilku latach wrócił drab, jako zbój i pijak, oszpecony potwornym kalectwem. Wrócił z obciętym nosem.

Wałęsał się po wioskach, strasząc swoim widokiem dzieci, prowokował awantury i napastował samotne kobiety, aż któregoś dnia wymordował żonę i dzieci, podpalił chałupę, a sam się powiesił na Jeziornej Górze.

Dzisiaj nikt nie wie, jak dawno to było, nikt tego nie pamięta, ale gadka wsio-wa, ta barwna, niepisana, lokalna kronika wieków, podaje z pokolenia w pokolenie niesamowite dzieje Boruniowego życia.

I Boruń straszy!

Widują go różni wsiowi ludzie, w różnych miejscach i przeważnie wieczorami, ale na Jeziornej Górze to i w dzień się pono pokazuje...

Nawet tak mówią po wioskach starzy ludzie, a jak starzy, to wiadomo, że mądrzy.

I tak Jeziorną Górę tchórzliwsi omijają zdaleka, a odważniejszym też skóra cierpnie na plecach, gdy wypadnie tam-tędy droga. I to w dzień!

A w nocy...!!!

W Imię Ojca i Syna i Ducha...

* * *

Antoni Bauer i Mieczysław Zatorski byli przyjaciółmi od lat dziecińczych. Jeszcze przed wojną światową ojcowie ich pracowali razem na poczcie w jednym z miast niemieckiego pogranicza. I chociaż stary Zatorski był urzędnikiem, a Bauer zwykłym listonoszem, małemu Mieciovowi i Antosiowi, którzy różnic społecznych jeszcze nie uznawali, sprawy te były zupełnie obojętne.

Wystarczało im to, że byli obydwaj niepodzielnymi panami małego, pocztowego podwórka. Tych kilkadziesiąt metrów kwadratowych przestrzeni było szerokim światem kilkoletnich brzdąców, na którym zadzierzgnęły się pierwsze nici dziecięcej przyjaźni.

W 1914 roku Niemcy bombardują miasto. Urzędnicy rządowi, stłoczeni w pociągach uciekają na Wschód. Mały Mie-

cio z ojcem (matkę stracił przy swym urodzeniu), Antoś ze starszą siostrą Ludwiką i rodzicami, z naprędce spakowanymi tobołami, wciśnięci w kąt towarowego wagonu, ruszyli w wielkie nieznane, na wieloletnią poniewierkę po bezmiarach Rosji.

Zaraz w pierwszym roku tułaczki zmarł stary Zatorski i mały Mietek został sam, zdany na łaskę losu i opiekę Bauerów, podjętą tylko z ich dobrej woli. Bauero- wie byli ludźmi uczciwymi i pomimo, że przeszli przez piekło rewolucji i głodu, po sześciu latach nędzy, oddali dzie- sięcioletniego Mietka, choć wątłego i go- łego, ale zdrowego i całego, bezdzietnej i zamożnej ciotce w Warszawie, pani Le- wandowskiej.

Lata wspólnej tułaczki i wspólnych przeżyć zacieśniły węzeł przyjaźni między chłopcami do tego stopnia, że tak ciotka, jak i Bauero- wie znaleźli się w kłopotcie. Mietek oświadczył kategorycznie, że z An- tkiem się nie rozłączy i u ciotki sam nie zostanie.

Co było robić? Antek został.

Zaczęły się dni gorączkowej pracy. Przewijali się przez dom pani Lewandowskiej nauczyciele i nauczycielki. Trzeba było nadrobić zmarnowane lata wojny. Chłopcy uczyli się.

Stary Bauer dostał posadę listonosza na prowincji, w związku z czym musiał wyjechać z Warszawy. O zabraniu Antka teraz znów pani Lewandowska słyszeć nie chciała, twierdząc, że spełnia tylko wobec Bauerów swój obowiązek — spłaca dług wdzięczności, a chłopców obydwóch pokochała jednakowo, jak matka.

Lata płynęły. Chłopcy wyrosli.

Skończyli gimnazjum i zaczęli studiować leśnictwo.

Świętego uczucia przyjaźni nie zasnuł nigdy przez tyle lat nawet najłżejszy cień. Jeden był echem drugiego. Stanowili jedną myśl, mieli wspólne upodobania, wspólne radości i smutki, choć zewnętrznie do siebie zupełnie niepodobni.

Bauer średniego wzrostu, dobrze zbudowany o pełnej twarzy młodzieniec, o ru-

chach nieco ociężałych i rubasznych, stanowił fizyczny kontrast z małym, drobnym, o bladej, ascetycznej twarzy i szybkich, nerwowych ruchach, Zatorskim.

Jako słuchacze leśnictwa spędzali wakacje co roku razem, na praktykach leśnych, zdala od wielkomiejskiego zgiełku, coraz to w innej stronie kraju.

Teraz dla odbycia ostatniej praktyki wakacyjnej, przed ukończeniem studiów, zjechali do znanych nam już okolic. Terenem ich pracy i obserwacji naukowych miało być uroczysko, nad którym wznosiła się tajemnicza, zielona kopuła Jeziornej Góry.

W Leśnicy, wsi położonej najbliżej lasu, siostra Bauera od kilku lat była nauczycielką. Zazwyczaj każdego lata znikwała z Leśnicy na całe dwa miesiące, teraz została pod warunkiem, że brat u niej zamieszka, „aby — jak mówiła — przynajmniej raz mogła się nim do syta nacieszyć“.

Zatorski, chcąc nie chcąc, musiał się z tym pogodzić. Pod samym lasem na

pagórku, równolegle do wsi stało rzędem kilka chałup. W jednej z nich wynajął sobie schludną izdebkę z małym oknem, dającym jednak rozległy widok na wioskę.

Pomimo to, przyjaciele prawie nie rozstawali się. Razem poznawali las, przemierzając go nogami we wszystkich kierunkach.

Jakkolwiek lato jest na ogół martwym sezonem w leśnictwie, każda administracja wyszukuje gwałtem jakieś zajęcia dla swoich wakacyjnych praktykantów. Tak było z Bauerem i Zatorskim, i dlatego przeciążeni specjalnie pracą nie byli. Wchłaniali w siebie czar przyrody, czyniąc z niego zapasy na długie zimowe miesiące wytężonej pracy w wielkomiejskich murach. Czerpali chciwie zdrowie z gorących promieni słonecznych, wciągając w płuca kojący balsam olejków eterycznych, jakich dostarcza zawsze pod dostatkiem bór sosnowy.

Wolne chwile od zajęć obowiązkowych, przyjaciele poświęcali polowaniom

na kaczki, których mnóstwo leży bagna, okalające z północnej strony uroczysko.

Wobec bardzo dużej ilości borsuków, administracja zezwoliła przyjaciołom-praktykantom na odstrzał kilku sztuk na Jeziornej Górze.

Jeziorna Góra, mimo swej ponurej legendy, straciła u nich wiele na swej tajemniczości. Znali na niej każdy zakątek, każdą norę i każde niemal drzewo. I chociaż nieraz przyszła któremuś na myśl historia Borunia, wywołując niemiłe uczucie niesmaku, ustępowało to natychmiast szczerzej wesołości młodzieńczych nastrojów kpili — z Borunia i strachów.

Zresztą nie było miejsca na ponure myśli.

Przecież las wokół był taki wesoły. Wesoło igrały promienie słońca po pniach i konarach. Lekarz - dzięcioł opukiwał wesoło swoich pacjentów — drzewa schorzałe. Mysikróliki, sikory, kowaliki z wesołym szczebiotem przeskakiwały z gałęzi na gałąź. Ruda wiewiórka, tancerka leśna, z głośnym cmokaniem wyczyniała swe

sztuki akrobatyczne na najcieńszych gałązkach drzew. Tu przemknął lis, tam zając, lub dziki królik szmyrgnął z pod nóg do nory.

Przecież las tętnił życiem...

* * *

Czas płynął beztrąsko, miło i tak szybko, że się nawet nie spostrzegli, kiedy skończyło się lato i pierwsze lekko żółkłe liście poczęły opadać...

W połowie października, przed i tak już opóźnionym powrotem do Warszawy, przyjaciele zeszli się na proszonym obiedzie imieninowym u panny Bauer.

— Słuchaj Mietku! — powiedział Antek. — W niedzielę pakujemy manatki i wiejemy do Warszawy. Powiedz mi, co my zrobimy z tymi borsukami...? Przecież nawet głupio nie wykorzystać takiej okazji... Będą nas mieli za niedorajdów... Zasadzkę przy norach trzeba robić w nocy... Posądzą nas o tchórzostwo...

A przecież, co tu dużo gadać, borsuka chciałbyś mieć na sumieniu... I ja też...

— No dobrze... Zgadzam się. W takim razie róbmy coś... Możemy nawet dziś... Noce księżycowe... Ale, a propos tchórzostwa... Mój gospodarz radził mi zupełnie poważnie nosić święcone naboje do lasu, jako antidotum przeciw Boruniowi... — żartował Zatorski..}— Pomyśl! Skąd my dzisiaj wytrzaśniemy tych święconych naboji? Co?

— Mniejsza o to! Mówmy poważnie Mietku. Walimy dzisiaj i koniec. Jak się nie uda, to mamy jeszcze kilka nocy przed sobą... A okazja taka może się nam nie prędko znów nadarzyć...

— Dobrze! Dobrze! Zrobione! — zgodził się Zatorski, spoglądając nerwowo na miedzę, na której w odległości jakiegoś dobrego jeszcze kilometra, ukazało się liczniejsze damskie towarzystwo. — Mam do napisania kilka ważnych listów... Już muszę iść! Mów o której zajdziesz po mnie, bo już uciekam?!

Bauer nie oponował. Zbyt dobrze znał swego przyjaciela. Zatorski unikał zawsze liczniejszego towarzystwa. Czuł się w nim nieswojo. Jego nagły pośpiech nie dziwił Antka wcale:

— Dobrze! Przyjdę do ciebie... Zaraz... Księżyc wschodzi mniej więcej koło dziesiątej... Do Jeziornej trzy kwadransy drogi... Będę w takim razie u ciebie o ósmej... Zapukam do okna i zaczekam na ścieżce. Nie wejdę na podwórko... Ten wasz czarny kundel czuje zawsze specjalną słabość do moich spodni... A po ciemku jeszcze mnie bestia za łydkę złapie... No, więcej...

— Pamiętaj Antoś! Czekam! Ósma...! — rzucił Zatorski za oddalającym się Bauerem, który biegł na powitanie zbliżających się gości.

* * *

Tego dnia był wyjątkowo ciepły, jesienny wieczór. W miniaturowym ogródku swoich gospodarzy, na ławeczce to-

nącej w barwnych georginiach i żółtych złocieniach, leżał Zatorski. Ogryzając jakieś źdźbło trawy łowił uchem w niemej kontemplacji, dalekie i bliskie odgłosy wsi, którą trzeba było już za kilka dni pożegnać.

Spłoszył go chropowaty głos gospodarza, który niepostrzeżenie wszedł do ogródka i stanął nad nim:

— Pan praktykant musi se tak o Warszawie już myśli...

Zatorski usiadł gwałtownie na ławce.

— Właśnie, że nie zgadliście gospodarzu. Myślę o waszej wiosce... O was, o waszej cichej, a tak bardzo pożytecznej pracy... Spotykam się często z powiedzeniem, że chłop jest podwaliną...

— Ale komory juchy w głowę gryzom! — przerwał kmiotek bez pardonu rozpoczęty wykład społeczny.

— Dymu sie ino psiekrwie bojom... — dodał przysiadając się na ławce.

Zatorski zrozumiał. Uśmiechając się wyjął papierośnicę.

Ceremoniał taki powtarzał się prawie co wieczór. Od pierwszych dni pobytu Zatorskiego w Leśnicy, złe komary uwzięły się na pocziwą głowę jego gospodarza i gryzły... Odpędzał je zawsze tylko dym z papierosów Zatorskiego.

— A wiecie gospodarzu... Idziemy dzisiaj w nocy z kolegą na borsuki. Na Jeziorną Górę... — powiedział Zatorski, akcentując ostatnie wyrazy i obserwując na kmiotku ich wrażenie.

— Jaak...?

Zatorski powtórzył. Chłopa aż poderwało.

— Ojej! A uchowajże Boże... Co tyż se panowie umyślili...

— A cóż to takiego? Przecież borsuki w dzień dla nas z nor nie powyłażą... Noce widne. Staniemy nad Borsuczym Jarem, to przecież się jakiś na nas napatoczy. A ten wasz straszny Boruń nie wilk, to nas nie zje! — drwił Zatorski.

Widać było, że chłop miał dość tej rozmowy. Spoglądał ukradkiem na czernejący w pobliżu las i spluwał.

Sciemniło się zupełnie. Zatorski spojrział na ręczny, nafosforyzowany zegarek.

— Czas już coś zjeść! Pójdziemy do izby! — powiedział.

W izbie usłyszał już po raz dziesiąty może, niesamowite rzeczy o Jeziornej Górze i jej urojonym władcy, Boruniu. Ten ostatni spędzał pocziwym kmiotkom sen z powiek, po wieczorach, na których szeptem o nim sobie opowiadano. W pojęciu ludu Boruń był mitem zła. A w diabelskich podstępach, dokuczaniu i straszaniu przeważnie samotnych ludzi, przeszedł władcę piekieł — samego Lucypera.

Zatorskiego zdenerwowała ta gadanina. Zjadł podaną mu kolację, życzył gospodarzom dobrej nocy i przeszedł do siebie.

Tu w samotności, pod wrażeniem dopiero co usłyszanych opowiadań, mimo woli, jakiś nieokreślony, podświadomy niepokój zakradł się do duszy. Zaczynała się gra wyobraźni. Zatorski myślał zawsze przytomnie i dlatego zupełnie przyto-

mnie zaniepokoił się tym pierwszym nieokreślonym uczuciem.

W sumie — zdenerwowanie jego wzrastało z każdą chwilą bez wyraźnej przyczyny.

— Tfu! Do pioruna! Nasłuchałem się babskich bredni i poddaję się, jak stara histeryczka! — pomyślał. Pozornie uspokoił się i spojrział na zegarek. Było dziesięć minut po ósmej. Antek powinien się zjawić lada chwila.

— No! Imieniny siostry... Towarzystwo... Kobiety... — usprawiedliwiał Zatorski w myślach przyjaciela.

Tymczasem minuty płynęły, zegarek już wskazywał dziewiątą, a Bauera nie było.

Zatorskiego znów ogarnęło zdenerwowanie. Przemierzał szybko dużymi krokami małą izdebkę w jedną i drugą stronę. Tłukł się jak zwierzę w klatce.

Wyszedł na podwórko. Gospodarze już spali. Dokoła panowały ciemności. Chwilę nasłuchiwał, ale oprócz naszcze-

kiwania psów po wioskach, nie dochodził uszu żaden inny odgłos.

Wrócił do izby i zaczął się z przyjemnością rozbierać. Zaledwie zdjął marynarkę, dało się słyszeć mocne pukanie w szybę...

Poczuł w tej chwili ogromny żal do przyjaciela o to, że przyszedł, a do siebie złość, że się dał tak lekko na tą eskapadę namówić.

Wziął strzelbę, wrzucił naboje do kieszeni, zdmuchnął lampę i wyszedł cicho na podwórze.

Na ścieżce do lasu zamajaczyła w ciemności sylwetka Bauera.

— Przepraszam cię za spóźnienie! — rzekł półgłosem — Tylko tsst! Cicho... Jeszcze ten kundel gdzie wyskoczy...

Zatorskiego uderzył nienaturalny, zachrypnięty głos przyjaciela.

— Pewnie pił wódkę... pomyślał.

Milcząc skierowali się do lasu.

Bauer szedł przodem. Prowadził. Sylwetka jego posuwała się przed Zatorskim ruchem leniwym, ociężałym, co wi-

dząc ten, zaczął na dobre posądzać przyjaciela o nietrzeźwość.

— Tego jeszcze brakowało...! — pomyślał i zaczął gwałtownie bronić się przed nagłą, uporczywą myślą powrotu do domu.

W lesie opanowały ich zupełne ciemności.

Zatorski poczuł dziwne gorąco i ucisk koło serca. Wszystkie zakątki mózgu, wszystkie nerwy oplątywał obrzydliwymi mackami — strach.

Sylwetka Bauera ledwie majaczyła przed nim w głębokiej czerni nocy. Czuł potrzebę mówienia, lub choćby odezwania się do niego. Powiedział coś głośno i przeraził się swego głosu, — tak zabrzmiał obco.

Cały wysiłek wzroku i myśli skierował tylko na jedno — nie stracić z oczu idącego przed nim przyjaciela. Uczepił się gorączkowo tej myśli i nie zauważył nawet w nerwowym podnieceniu, że wchodzili już pod górę i powoli zaczęło sza-

rzeń. Sylwetka idącego przed nim przyjaciela stawała się coraz wyraźniejsza.

Przystanęli. Byli u celu — nad Borsuczym Jarem.

Bauer nakazując gestem ręki milczenie, wskazał miejsce pod drzewem przyjacielowi. Zatorski został i zdejmując strzelbę przeląkł się myśli, że straci Bauera z oczu. Na szczęście wszedł księżyc i zaczęło się gwałtownie rozwidniać. Widział już wyraźnie, jak Bauer przeszedł na drugą stronę jaru i przystanął pod jakimś drzewem.

Rozjaśniło się zupełnie. Księżyc przesiewał teraz mdłe światło przez korony drzew, stwarzając fantastyczny w rysunku krajobraz.

Przyjaciele stali nieruchomo, wyęzając wzrok i słuch.

Zatorski analizował swój niedawny stan psychiczny i kpił w duchu z siebie. Im bardziej zastanawiał się nad ubiegłymi wypadkami, tym więcej wydawał się sobie śmieszny.

Po jakimś czasie uczuł zmęczenie i zaczął się bronić przed ogarniającą go sennością. Pomimo wszystko najchętniej wróciłby teraz do domu, gdyby się nie wstydził przyjaciela.

— Jestem z nerwami nie w porządku! — pomyślał.

Zegarek wskazywał kwadrans na dwunastą.

Bauer stał cały czas na swoim miejscu nieporuszony.

Do duszy Zatorskiego znów zaczął wpełzać powoli przyczajony niepokój. Denerwowała go śmiertelna cisza panująca dokoła. Myśli kłębem tłoczyły się pod czaszką, złożone z samych fantasmagorii mózgu, zrodzonych pod wpływem ponurej legendy. Przypominał sobie teraz z niej każde zasłyszane słowo i zmęczoną wyobraźnią odtwarzał koszmarnie obrazy.

Otuchy dodawał mu tylko widok przyjaciela, którego na ułamek sekundy nie tracił z oczu.

Naraz, jak błyskawica przeszła go
upiorna myśl... Co by było, gdyby to
nie był Antek, a — tamten...

Zimny pot go oblał.

Strach chwycił za gardło.

Antoś!! Antoś...!!! — krzyknął nie-
przytomnie i dopadł pędem przyjaciela.

Spojrzał i upadł. W paroksyzmie strach-
chu darł na sobie ubranie —

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Przed nim na niskiej gałęzi wisiał
upiorny, beznosy wisielec i patrzył obo-
jętnie przed siebie pustymi oczodołami —

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

* * *

Sekcja zwłok Mieczysława Zatorskiego przeprowadzona przez komisję sądowno-śledczą stwierdziła śmierć na udar serca, w związku z nagłym urazem psychicznym.

* * *

— Umówiliśmy się, że przyjdę wieczorem do niego na ósmą... — Ciągnął swe zeznanie przed sędzią śledczym, zgnębionym głosem, Bauer. — Zebrani u siostry goście nie chcieli mnie wypuścić... Zresztą sam miałem ochotę zostać... Na kilka minut przed dziewiątą wyrwałem się jednak... Chciałem dotrzymać słowa... Wieś już spała, jedynie na górze pod lasem świeciło się w oknie mego przyjaciela. Puściłem się na przełaj przez pola na kierunek światła... Nie uszedłem jeszcze połowy drogi, gdy światło w oknie zgasło... Sądzi-

łem, że przyjaciel mój nie mogąc się mnie doczekać, położył się spać... Zresztą było tak ciemno, że o drodze przez las nie mogło być mowy...

Bauer przerwał. Nastąpiło chwilowe milczenie. Protokółant kończył pisanie.

— Słucham pana dalej... — przynaglił spokojnym głosem sędziego.

— Stałem chwilę w miejscu — mówił Bauer dalej — a gdy światło już się w oknie nie ukazało, poczułem wdzięczność do przyjaciela za wybawienie mnie z niemiłej sytuacji... Wróciłem uradowany do towarzystwa... I dopiero rano... Ludzie... Okropność...

— I nie mogę... Nie mogę w żaden sposób pojąć — mówił z coraz bardziej dławiącym go żalem — co mogło skłonić, z natury tchórzliwego mego przyjaciela, do samotnego wałęsania się po lesie w taką ciemną noc... I to po miejscach owianych tak ponurą sławą...

Siedział złamany, z głową ukrytą w dłoniach.

Nie wiedział, kiedy pożegnał go sędzia śledczy i odjechał z towarzyszącymi mu ludźmi. Nie wiedział, kiedy pani Lewandowska, wezwana depeszą, zajechała przed budynek szkolny... Czuł tylko, że się coś w jego życiu załamało... Jakieś złe fatum przeorało ścieżkę jego życia... Zabrakło mu kogoś bardzo drogiego...

Z pod przymkniętych powiek, zaczęły spływać po policzkach ciężkie, męskie łzy...

* * *

A Jeziorna Góra dalej króluje nad okolicą.

Widzą ją przecież codziennie mieszkańcy Leśnicy, Skórkowa, Trzebuchowy i Gnieździsk.

I nic się na niej zasadniczo nie zmieniło. Tylko jej kopuła widoczna z daleka jest trochę wyższa i zmienia swoją barwę zależnie od pory roku. Las nieco podrósł i zgrubiał... I zwierząt różnych, a zwłaszcza borsuków moc się napłodzi-

ło... Nikt tu nie poluje... Nikt nie podchodzi nawet blisko...

Tylko księżyc nocami z obleśnym uśmiechem myszkuje w lunacjach między drzewami, zmieniając kształty jarów, kamieni i drzew w państwo szatana...

A las szumi niby obojętnie i kusi...

Panowie myśliwi i poszukiwacze przygód!

Proszę!! Las czeka na śmiałka...!

Kielce — 1938 r.
(Nadleśnictwo Dyminy).



~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
W GLIWICACH
Nr. _____~~

SPIS RZECZY

	Strona
Uśmiech Św. Huberta	5
Bury	19
Bajeczny kawał Chitrego	41
Zasadzka	53
Poleska przygoda	69
Humoreska na smutno	95
Wielce romantyczna historia	109
Sprawa Nr. 1313.	123
Szara godzina	147
Tajemnica Jeziornej Góry	155

SN 21060
JP